

Nie pożyczają się

ALEXANDER KAWAN

REWIA



19

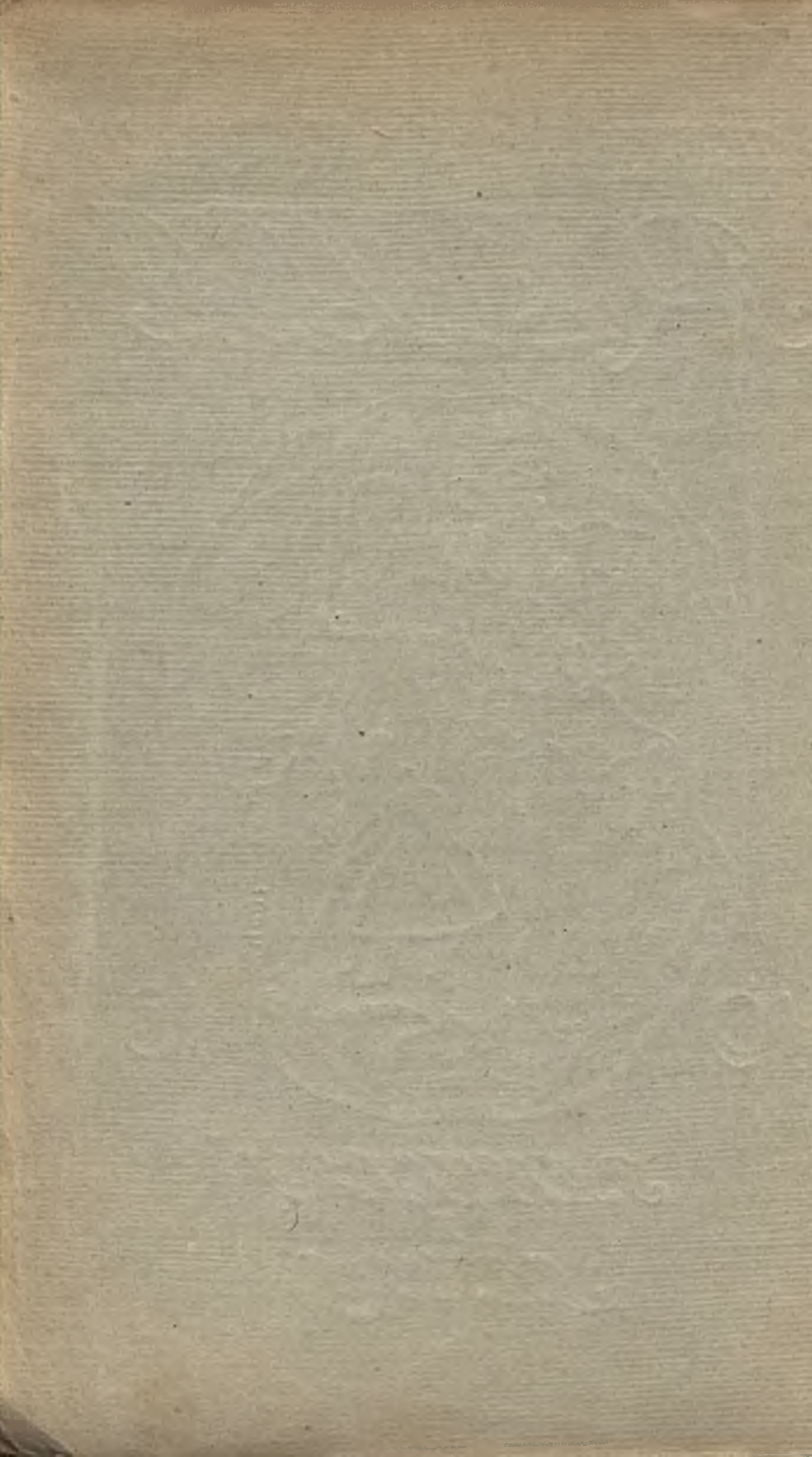
16

PAMFLETY

II

SATYRY

Kolegium O. O. Franciszkanów
Chr.



Slenska

R E W J A

64

Włocławski chrzest

ALEKSANDER KARWAN

REWJA

SATYRY i PAMFLETY



Kolegium O. O. Franciszkanów

E. WENDE I SPÓŁKA
WARSZAWA I LWÓW

1916.

LPI 5C

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa
autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone. Copyright by
Aleksander Karwan. Nineteen hundred sixteen.

491657

II

K-77/13394
14. 12. 180,-



„DRUKARNIA POLSKA” WARSZAWA, SZPITALNA 12.

PIEŚŃ NA UCZCIE.



...Strażnicy zamków oczy pod hełm
kryją, a psy wieśniaków, zarywszy pysk
w ziemi, kopią, śmierć wietrzą i okrop-
nie wyją.

(Konrad Wallenrod).

Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedzia-
łej na roli!

Dziedziców gleby lubelskiej, hrubieszowskiej,
radomskiej, piotrkowskiej, kieleckiej, siedleckiej, ku-
jawskiej i dobrzyńskiej!...

Śpiewam męstwo szlachty polskiej od wieków
osiedlonej po dworach: w Wielko- i Mało-Polsce,
w Mazowszu i na Podlasiu, na kresach dalekich,
na Łotwie i Żmudzi, w Czerwonej i Białej-Rusi, na
Litwie i na Podhalu.

Śpiewam męstwo potomków hetmanów i ryce-
rzy, potomków senatorów, potomków pskowskich,
kircholmskich, cecorskich towarzyszy pancernych.
Śpiewam męstwo — męstwu synów Somosierry,
synów Racławic i Grochowskiej Olszynki. Śpiewam
męstwo szlachty polskiej, gdziekolwiek była, gdzie-

kolwiek jest i gdziekolwiek będzie: w Italji, pod Piramidami, na San Domingo, w Syberji, na barykadach wszystkich paryskich rewolucyj — — a także w Targowicy, w Grodnie i Białymstoku, w Petersburgu i Warszawie — pod szubienicami, w Monte Carlo, na Grand Prix i na każdym miejscu...

Szlachto polska!

Śpiewam twój uniwersalny tarcz herbowy, klejnot rodowy, bezcenny, obejmujący pospołu wszystkich klientów Paprockiego, Bonieckiego, Niesieckiego — tudzież szaraczków podlaskich i braci z dobrzyńskich, oszmiańskich oraz nowogródzkich okolic. Daję ci nie część pola — jeno całe pole. Nietylko epopeje polskiej szkoły, nietylko niedokończony poemat Macierzy, nietylko liryczne kooperatywy mleczarskie, nietylko kółka rolnicze, nietylko kolatorskie ornaty, nietylko kolatorskie ławki — ale i petersburskie, berlińskie, wiedeńskie parlamentarne boje; ale i petersburskie, berlińskie, wiedeńskie parlamentarne bankiety; ale i zjazdy słowiańskie i przedpokoje ministerjalne i memorjały i listy otwarte i notatki ulotne i projekty do praw i wszystkie policyjne kartki meldunkowe, na których, Szlachto polska, meldowałaś na wjazd, na wyjazd, albo na pobyt Najjaśniejszą Osobę polskiego Narodu.

Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedziałej na roli!

Iżecie akceptowali przecież wszystkie Rządów naszych wolnościowe dokumenta; iżecie raczyli

przyjąć do wiadomości konstytucję 3-go maja, a potem uniwersał Kościuszkowski, a potem wszystkie bunty narodu i jego krwawe „bezużyteczne“ bohaterstwa.

Iżecie raczyli przyjąć do wiadomości nazwiska Tadeusza Kościuszki, Hugona Kołłątaja i Maurycego Mochnackiego.

Iżecie zezwolili na wiadomość o polskiej myśli politycznej—i zezwalacie dalej pisać się nam polakami, aczkolwiek niewiadomo, co powiedzą na to dmowscy — i co myślą tam — kardynał Puzyna, oraz biskupi Massalski z Kossakowskim.

Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedziały na roli!

Dalecy od kolei, rozproszeni, przygnębieni, zadłużeni, napastowani przez obce rządy i własne nierządy, opisani przez banki albo żydów, opisywani przez rosyjskich, szwedzkich, francuskich dziennikarzy, umieszczeni w opinii Europy gdzieś pomiędzy Uralem, a pogranicznym miasteczkiem Aleksandrowem, zagłuszeni, ośmieszeni, otoczeni od nieprzyjaciół, jako był Daniel od lwów otoczony — z jakimż wysiłkiem chwytnie przejeżdżne strzemiona, z jakimż uporem szepczecie pobladłymi ustami kolejne hasła:

— Ex Oriente — vel: — ex Occidente — Lux!

Z jakąż tęsknotą roicie o polskiej sieci dróg bitych, o tanim kredycie, o meljoracjach rolnych, o narodowej sztuce, o narodowej szkółce elementarnej!

Z jakąż rozpaczą ronicie swoje obole w danajską beczkę nędzy narodowej!

Z jakimż stoicyzmem znosicie analfabetyczne chłopskie wszy, żydowskie pijawki, oraz czarny karbunkuł, idący ku nam z obszernych łęgów słowiańskiego mocarstwa!

Z jakimż heroizmem czytacie w czarnych duszach isprawników, z jakąż chrześcijańską pokorą zginacie się do kolan gubernatorów i policmajstrów, z jakimż zapalem łowicie czkawkę ministrów, czytając nieczytelne, dzieląc niepodzielne i badając niezbadane skręty, z których się ma wyłonić pan-słowiański Bóg, ogromny, cuchnący, straszny, ale jednak nasz, proroczy — choć pijany, mocny — choć gliniany, — wspaniałomyślny, bo tolerujący w rodzinie narodów *nawet polaków!*

Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedziałej na roli!

W którymś miesiącu Wielkiej Wojny dowiecie się może o ludziach, ginących za polską wolność...

Widzę was.

Schylicie żałośnie wasze senatorskie głowy, w oczach waszych zabłyśnie brylantowa łza i powiecie głębokim szeptem:

— Nie czas...

Młodszy z pośród was może spłonął oburzeniem, może uderzył się po lewym boku, gdzie już dawno noszą pieniądze — ale nie żelazo — i zakrzyknął:

— Nie tak trzeba było!

Inni powiedzą:

— Zawcześnie!

Inni:

— Zapóźno...

Jeszcze inni zmilczą pogardliwie i położą dłonie na dokumentach swego niewątpliwego szlacheństwa: na indygenacie króla Jana, na patencie księcia Józefa i na krzyżu Virtuti militari, który ich pradziadom polski wódz był nadał.

Aliści stać się może, że indygenat szlachecki zaszczeaka psim głosem, że patent oficerski opłynie smołą, a krzyż, czysty krzyż wojskowy oparzy tchórzliwą rękę, co się go dotknęła!

.

Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedziałej na roli!

Spoglądam w oblicza wasze, ojcowie rodów, książęta, ordynatowie, hrabiowie, obywatele... Widzę oblicza wasze, dziedzice historycznych i pół-historycznych nazwisk, Katony, Scypjony, Scaevole narodowe!

Widzę oblicza wasze, bracia-szlachto, dowiadująca się w którymś tam miesiącu wojny o ludziach, ginących za polską wolność...

Z przedziwnym uśmiechem zmrużycie oczy... weźmiecie to pismo w dwa palce i powiecie cicho, z przenikliwością, godną starego Talleyrand'a:

— To pisał socjalista...

— Jakiś żyd...

Oh, nie!

.....
.....
Polska ręka wyciągnie się i ujmie srebrzysty
dzwoneczek Loretański.

.....
Śpiewam męstwo szlachty polskiej, zasiedziałej
na roli!

.....
Polską moją ręką potrząsnę w powietrzu.

Wiecie pewnie, Bracia szlachta, kolatorzy,
wierzący katolicy — kiedy dzwoni srebrzysty dzwo-
nek Loretański...? I poco dzwoni?

Oto wam zadzwonię po raz pierwszy.

Byli tacy, co dzwonili przedemną... Będą
dzwonili i po mnie... Mocniej, lepiej! Nic to. Będę
dzwonił i dzwonił — i postawię wam w głowach
żółtą, woskową gromnicę.

Nlech się przekona cały świat, jak prędko,
jak łatwo i jak pokornie umierają niewolnicy!

SOCJAL - KONSERWATYŚCI.



Cały świat znał dotychczas socjalistów i konserwatystów. Pierwsi siadywali w parlamentach na skrajnie lewej — drudzy zaś — na prawej stronie. Pierwsi zwoływali się przenikliwymi świstawkami, drudzy grali swe hasła na stentorowej waltorni. Aliści powstała w roku pańskim tysiąc dziewięćset piętnastym nowa partja. Wyłonił tych ludzi huragan wojny wszechświatowej. Nazwali się: — Socjal-Konserwatyści.

Kolebką duchową Socjal-Konserwatystów była Polska; polskimi były drogi, wiodące do ich stolicy; polska wieś stała się ich zamkiem Graala, wieś prześliczna, rozłożysta, tonąca w sadach wiśniowych, w malowniczych pagórkach i sliwnikach.

Twórcą, apostołem, leaderem socjal-konserwatystów, później zaś — prezesem ich klubu — był dziedzic wyżej wspomnianej wsi. Nazywał się ów dziedzic — Zygmunt August Koniecpolski, — zaś włość jego nazywała się Zajęcza Skórka i leżała gdzieś w Królestwie Polskim, między Lublinem, Włocławkiem, a Mławą.

Historja powstania partji rozpada się na kilka etapów. Każdy etap jest prosty, jak syllogizm. (Wszystkie rzeczy gieńjalne są proste!). Właściwie, każdy etap, to gradus doskonałości Zygmunta Augusta Koniecpolskiego. Zawsze tak bywało. Napoleon urodził wiek dziewiętnasty — dziewiętnasty wiek żył Napoleonem. Telegraf stał się Marconim — a znów Marconi telegrafem. Dlatego przejdziemy za Zygmuntem Augustem Koniecpolskim wszystkie etapy jego doskonaień, a poznamy wewnętrzną formację potężnych już dzisiaj polskich socjal-konserwatystów (P. S. K.) — i zrozumiemy ich serca. Jako błędni rycerze Graala wrócimy do cichych sadów Zajęczej Skórki i pogrążymy się w syntezie.

* * *

Wojna rozpoczęła się, jak wiadomo, 1-go sierpnia.

Dnia tego pan Koniecpolski stał w polu i wodził okiem pułkownika po swoich znakomitych burakach. Właśnie zamienił był z rządcą kilka uwag o charakterze fachowym, gdy na drodze, wiodącej od miasteczka, ukazał się wasąg żydowski, a w nim Mordka Pappenholc, załatwiający zazwyczaj lokalne przesyłki pocztowe. Mordka szybko podjechał do dziedzica, zdarł chabety i wyskoczył z wehikułu, dając ręką znaki alarmowe. Od samego rowu i na cały głos, zaczął wołać z istic semicką ekspansją:

— Wojna! Panie dziedzycu — wojna... — I wy-
wijał w powietrzu nowoprzywiezioną gazetą.

Pan Zygmunt August zmarszczył brwi. Z nie-
dowierzaniem pokręcił głową i wziął pismo do ręki.
Rzucił oczyma na pierwszą kolumnę prowincjonal-
nego „Głosu“, czy też „Gońca“ — osłupiał, po-
czym zwrócił się do rządcy.

— Wojna, — panie Grzesikiewicz!

— Wojna?

Z kolei rządcą wziął do rąk fatalny druk. Prze-
czytał komunikat, podany przez redakcję najgrub-
szymi czcionkami, takimi samymi, jakimi przyjęto
drukować na prowincji nekrologi księży dziekanów
tudzież radców Towarzystwa Kredytowego Ziem-
skiego... Zasepił się wreszcie i wyrzekł:

— Proszę dziedzica!.. ja jeszcze przed wojną
japońską mówiłem, że się tak skończy...

Zaś pan Koniecpolski zaczął chodzić po mie-
dzy tam i z powrotem, głęboko zadumany.

* *

2-go sierpnia, a więc nazajutrz, pan Zygmunt
August kazał zaprządz do bryczki i pojechał
do miasteczka powiatowego. Zdążył na czas. Wła-
śnie wyjeżdżały gremjalnie w głąb kraju władze
miejscowe. O wyjeździe tym — nie panicznym, by-
najmniej! — (tak twierdzili tylko ludzie skłonni do
przesady), ale nacechowanym bądź co bądź dosyć

wyraźnym pośpiechem — zwiedziało się całe miasteczko i wyległo tłumnie na rynek.

Pan Koniecpolski złożył wizytę naczelnikowi powiatu. Zdążył być także u komisarza włościańskiego, a nawet uścisnął rękę nieznanego mu osobie miejscowego parocha, który sadowił się właśnie na wóz pod zawodzenie dwóch wdów oficerskich i ciche narzekanie swej małżonki — popadłej, piastującej na kolanach dwie miedziane ikony, oraz imbryk podróżny.

Zdążył także pan Koniecpolski zamienić kilka słów z wyjeżdżającymi strażnikami, których nieraz podejmował na folwarku herbatą i wódką wierny alter ego dziedzica — rządcą Grzesikiewicz.

Piszemy o tym wszystkim dlatego, że w ogólnym zamęcie, jakim był nacechowany ów pamiętny dzień 2-go sierpnia, o jakiegokolwiek orjentacji nie mogło jeszcze być mowy i dlatego też postępowanie pana Koniecpolskiego nosiło wszelkie cechy niezwykłości. Tak. Dzisiaj już rzec możemy, że to był akt budzącego się, gieńjalnego taktu politycznego. Lew potrzasał grzywą. Później, daleko później znaleźli się ludzie, których stać było na orjentację taką, lub inną. Ale pan Koniecpolski wszystkich wyprzedził. Tak sokół ulatuje w górę, zostawiając poza sobą ptactwo pośledniejszego gatunku.

Dzień 2-go sierpnia był etapem. Polski szlachcic, Zygmunt August Koniecpolski wszedł był wówczas na pierwszy gradus doskonałości!

Jest coś w ludziach, urodzonych na przywódców: jest coś niewysłowionego, jakowyś urok, jakowaś impozycja, jakoweś wewnętrzne promieniowanie...

— Na czym to polega?

Różni samozwańcy, kompilatorzy, różni demagogi, lub fałszywi trybuni starają się sztucznie stworzyć ów nimb. Jedni chcą to mieć we włosach — a więc strzygą je w kosmyk napoleoński albo w cesarowego jeża; (Cesarowego jeża traktujemy zresztą apokryficznie); — inni chcą to mieć w oczach, a więc robią ponury mars Cromwella, lub rozpromienione natchnienie Mirabeau.

Jeszcze inni kładą nacisk na ubiór, wdziękając na się szaty hieratyczne, albo zgoła niedbałe, albo po pańsku wykwintne. Subtelności gubią się gdzieś w bułonicach, w kolorze skarpetek, albo w szpilce do krawata.

— Śmieszne, małpie, bezsilne usiłowania! Prawdziwy prorok bywa tylko jeden.

Poznasz go na dwa stajania, zanim jeszcze otworzy usta. Widzisz go — i wiesz odrazu, że to ten, ten właśnie, a nie inny. — Czy przypominacie sobie piękną, wzruszającą historję Parsifala? Epizod... Gdy młody chłopak spotkał na leśnej ścieżce po raz pierwszy prawdziwych rycerzy — zrozumiał sercem, iż są to prawdziwi rycerze i zakochał się w połysku ich zbroji, w promieniach tarcz i śmiercionośnych dzidach. Chwili tej Parsifal stał się rycerzem...

Czyż dziwne przeto, że nie przeszło wiele czasu, a poczuli okoliczni ziemianie, iż mają pośród siebie Zygmunta Augusta Koniecpolskiego!

Pewnej niedzieli zajechał wolantem przed kościół — i nic. Zebran sąsiedzi ujrzeli pozornie rzecz najzwyczajszą: wolant, a na wolancie szlachcica. A jednak gdy po sumie wszedł na plebanji w ich koło, poczuli, — że wszedł nie kto inny, tylko Koniecpolski.

— Cóż pan sądzisz, panie Zygmuncie — zagadnął pocziwy proboszcz: — Jak też to się skończy? Wojna — hę..?

I na to pan Zygmunt August odpowiedział z dziwną prostotą:

— Nie wydoji buhaja, księżę dobrodzieju.

Obecni spojrzeli po sobie, uderzeni trafnością słów i głębokością alegorii politycznej. Wróciwszy do domów, powtórzyli te słowa swoim żonom. I stało się, że właśnie w dobie upadku Antwerpji, zwrócone były na Zygmunta Augusta Koniecpolskiego oczy wszystkich jego współpatriotów. To był etap drugi.

* * *

— Chciałbyś, sąsiedzie, żeby wrócili — ?

Tak pytał pewnego dnia dziedzic sąsiedniej Wólki, przyczym spoglądał badawczo w oczy pana Koniecpolskiego.

— Kto?

— Nasi...

Pan Zygmunt August zmrugał powieki i uśmiechnął się pobłażliwie.

— Sąsiad zajmujesz się polityką?

Dziedzic Wólki nie mógł ukryć zakłopotania.

— Nie... ale, bo — widzisz pan, panie Zyg-muncie, trzeba by ustalić orientację...

— To pan nie masz jeszcze orientacji?..

— Widzi sąsiad... właściwie...

Pan Zygmunt August zmarszczył brwi. Rzekł krótko:

— Sąsiedzie. Przekonania, to rzecz święta. Świętości nie godzi się wystawiać na pokaz.

Dziedzic Wólki zrozumiał, że zadał pytanie w niewłaściwych słowach. Szukał dalej światła, ale w innej formie:

— Panie Zyg-muncie... czy Rosja zwycięży?

— Rosja posiada olbrzymie siły.

Dziedzic Wólki ucieszył się.

— Prawda?! Zawsze to mówiłem. Czy uwie-rzy sąsiad, że są ludzie, którzy wątpią... Ale to ko-los!.. Kolos. A cóż sąsiad... o Niemcach?

Pan Koniecpolski skłonił poważnie głowę:

— Niemcy są wielkim narodem!

Powiedziawszy to, wyjął papierośnicę i poczę-stował gościa. Dziedzic Wólki podziękował, zapalił i zadumał się. Zrozumiał że dyskrecja jest rzeczą pożyteczną nie tylko wtedy, gdy chodzi o romans z mężatką, ale i wówczas, kiedy rzecz się tyczy

polityki. A zrozumiałwszy, cały napęłnił się szacunkiem dla taktu sąsiada.

Kiedy po kwadransie miał wyjeżdżać i stał już na ganku, zwrócił się naraz żywo do pana Koniecpolskiego:

— Możeby sąsiad jutro był łaskaw na nas? Imieniny żony... może się złoży malutki bridge w ścisłym kółeczku?

— Niestety, sąsiedzie — pan Koniecpolski zafrasował się serdecznie: — nie mogę. Jutro spodziewam się wizyty kilku oficerów... rozumiecie, rzecz oficjalna... trzeba się porozumieć w sprawie rekwizycji... Oberst-lejtnant... major... może kiedyś indziej? Proszę oświadczyć solenizantce moje najgłębsze uszanowanie.

— Dziękuję. Ale taka szkoda...

— I ja żałuję... ale, wobec położenia, w jakim się nasz kraj znajduje — rozumie sąsiad... muszę być w domu.

— Oh, tak! Naturalnie... rozumiem. Cóż robić? Dowidzenia, szanowny panie Zygmuncie!

— Dowidzenia, sąsiedzie!

I dziedzic Wólki odjechał, pełen cichego szacunku. Czuł to dokładnie że poza zewnętrznym spokojem, cechującym pana Koniecpolskiego, musi się tać gorąca troska o losy kraju.

— Ten wie, czego chce, — pomyślał. I stało mu się nawet trochę wstyd tego jutrzejszego bridge'a w „ścisłym kółeczku“.

Zaś pan Koniecpolski zawołał służącego i wydał mu kilka rozporządzeń, będących w związku z przyjęciem jutrzejszych gości. Następnie udał się do swojego gabinetu i zamknął się w nim. Chodząc po cichym dywanie, stanął kilka razy koło bibliotecznej szafy, powiernicy jego myśli, wyjął książkę jedną i drugą...

Roztargnioną ręką uronił na stolik odnaleziony tom Goethego...

Zapewne przez zapomnienie porzucił na biurku otwarty romans niemiecki... Kupił go kiedyś w powrotnej drodze z Wrocławia...

Pudełko z cygarami przesunął na środek stołu. Poczym sięgnął po papierosa. Bo cygar nie palił.

* * *

Kiedy doszły do Zajęczej Skórki wiadomości o losach Galicji — pan Koniecpolski pokiwał głową, ale nie powiedział nic. Dopiero znacznie później zrozumieli sąsiedzi całą głębię jego charakteru. W dniu, w którym pisma przyniosły szczegóły zdobycia Przemyśla, p. Koniecpolski znajdował się w liczniejszym gronie osób: wówczas to wysłuchawszy depeszy, zakrył na chwilę oczy ręką i wyszeptał cicho:

— Mój Boże! Tyle krwi...

Obecny przy tym proboszcz ucałował go w oba policzki.

— Chrześcijańskie w tobie serce, panie Zyguncie! Żebyż więcej takich było!

Pan Koniecpolski machnął ręką.

— Ech, Księżę proboszczu...

Ale wszyscy, znajdujący się podówczas w towarzystwie, a zwłaszcza damy — zrozumieli, że pod tym napozór rubasznym machnięciem ręki kryje się prawdziwa skromność i prawdziwe polskie serce, wrażliwe na cierpienie bliźnich.

* * *

A kiedy w wiejską ciszę upadło nowe hasło: Legjony — — pan Koniecpolski zamknął się w sobie. Ale snąć wrażenie było tym razem silniejsze, niż jego skupiony, męski spokój — bo pan Koniecpolski wybuchnął przy pierwszej okazji. I wówczas ci, którzy sprowokowali ową okazję, ujrzeni może najstraszniejszą rzecz podczas tyłu miesięcy wojny, obfitującej w krew i zniszczenie.

Ujrzeni... męskie łzy.

Pan Koniecpolski — płakał.

Zygmunt August Koniecpolski — płakał!

— ...kupieni... kupieni i oszukani... za obce pieniądze... potomkowie... potomkowie tych ludzi...!

I przez męski, gorzki, rozpaczny szloch wskazał ręką na ścianę, na portrety obu swych dziadów — po mieczu i po kądzieli — na portrety

dwóch oficerów b. wojsk polskich, po których odziedziczył imiona Zygmunta — Augusta.

*
* *

Odtąd nie mówiono przy panu Koniecpolskim o Legionach. I za nim cała okolica zamknęła w sobie na dwa spusty ów wstyd, ową tragedję szalonej, jawnogrzesznej młodzieży, która za jednym zamachem zburzyła mozolną pracę pokoleń. Legjony stały się tym, — „O czym się nie mówi“.

*
* *

Wówczas właśnie zaczęły się wyraźnie formułować programy polskich socjal-konserwatystów. Jednoczył się ideowy orszak P. S. K. — i—co dziwna!— nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że jest ideową całością.

Do Zajęczej Skórki zjeżdżali codziennie obywatele dziedzice, obywatele dzierżawcy, poprostu obywatele — ba! zaczęli się sporadycznie ukazywać nawet żydzi.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że prowadził ich Zygmunt August Koniecpolski. Tak być musiało. Socjal-konserwatyści stworzyli rychło platformę i platformy tej postanowili bronić do ostatniej kropli krwi.

Z pośród wielu punktów programu P. S. K. najnowszymi, najważniejszymi były:

- zwalczanie zgubnej ruchawki orężnej —
- organizowanie rolnego ludu.
- organizowanie robotniczych mas —
- wolne związki zawodowe —
- ośmiogodzinny dzień roboczy —
- prawo zebrań, wolnej prasy —
- powszechne nauczanie —
- asekuracja na starość —
- demokratyzacja rządu —
- wybory powszechne tajne... —

Na walnym zebraniu pan Zygmunt August Konięcpolski rzucił hasło, niby płonąca pochodnię — i przyjęli je entuzjastycznym okrzykiem właściciele majątków, fabrykanci, ekonomowie, dzierżawcy, praktykanci, kupcy i pośrednicy:

- Niech żyje wolna polska praca organiczna!
- Niech żyje. Vivat!

Zebrani zacieśnili krąg dookoła mówcy.

- Niech żyje robotnik polski i chłop polski!
- Niech żyją. Vivat!
- Vivant!!!

Zebrani ściskali się za ręce. Dwuch socjal-konserwatystów wyznania mojżeszowego ocierało łzy.

— Niech wojna uderza w nas swoimi piorunami, niech ludy chwytają za broń, niechaj się palą

siola! — my wiernie wytrwamy przy naszych sztandarach — wołał pan Koniecpolski. — W lojalnej, demokratycznej robocie organicznej zjednoczymy nasze serca! Hydrom krwawym przeciwstawimy organizację, organizację i jeszcze raz organizację...

— Vivat!

— ...pod różdżką oliwną przygotujemy lepszą przyszłość dla całego narodu...

— Vivat!!!

Obywatele ziemscy, kupcy i pośrednicy zaglądali sobie w oczy z wyrazem ekstazy.

Pan Zygmunt August Koniecpolski zasię miał oblicze natchnione.

Zdawało się, że z źrenic jego trysną błyskawice. W ogniach, cały jako jedna żagiew wspaniała, kończył:

— A jeśliby tu miał przyjść kiedyś jeden z tych, którzy głosząc hasła czynu — opętani — ujęli bratobójcze żelazo i zabiją naszą przyszłość w tak zwanych legjonach polskich! — jeśliby przyszedł taki — znajdzie w naszej zorganizowanej pracy należytą odprawę!... Odprawę pogardy!

— Vivat!!!

Pan Koniecpolski zszedł z mównicy. Wówczas wzruszeni socjal-konserwatyści porwali go na ramiona i wynieśli w tryumfie na dziedziniec, nad którym zachodziła właśnie okrągła, czerwona kula słoneczna.



Dwa małe chłopaki wiejskie, chyłkiem w-
zierające zza węgła — razem z gromadą fernali,
bab i dziewczek folwarcznych — wyciągnęły szyje...
Młodszy szepnął:

— Antek... widzisz, jaki dziedzic cały cyrwony?

— Głupiś... to mu się ino te słońce cyrwieni
na gembie...



Z KRONIK MIASTA SIMPLICITAS.

I.

Przyszedł nareszcie dzień, kiedy się spełniły marzenia wielu serc. Dzień, o którym roily umysły przez tyle, tyle miesięcy wojny!

Do miasta Simplicitas, położonego na lewym brzegu rzeki Zapomnienia, w jednej z zachodnich prowincyj Meksyku — powracały wojska rządowe. Wojska te, które uciekały były swojego czasu na łeb, na szyję — daremnie usiłowały dotrzeć tutaj przez cały czas orężnej zawieruchy; — teraz wstępowały tryumfalnie w bramy miasta, odzyskanego na mocy traktatu pokojowego, który to traktat oparł się w znacznej części na wierności i lojalności simplicitańczyków.

Na czele sztabu wjeżdżał znakomity gienerał Turma-y-Nahàj — człek o wspaniałym wyglądzie, osiwiwały w bojach. Po prawej stronie miał obok siebie szefa policji, Canaglję — po lewej zaś posuwał się stępa gruby pułkownik, naczelnik intendantury, caballero Ocovita.

Dalej rozpoznawały uradowane oczy wiernych simplicitańczyków znane sobie postacie marsowe: Huertę, który po złożeniu go z prezydentury pełnił był w swoim czasie funkcje naczelnika akcyzy; groźnego Carranzę — dyrektora więzienia miejscowego; Zapatosa — dowódcę straży ziemskiej.

Za nimi jechali stryjeczni bracia Diaz: Enrico, syn Mikołaja i Porfirio, syn Aleksego. Pierwszy — szef tajnych, drugi — szef jawnych łapaczy.

Wreszcie jechał Lues, rotmistrz żandarmów, pogromca tysiąc dziewięćset piątej meksykańskiej rewolucji. Chociaż jednooki, rotmistrz był jednak pięknym mężczyzną. Kobietom były serca na jego widok.

Tłum stał dookoła nieprzeliczony. Gdy już świetny orszak znalazł się na rynku, a sotnie konwoju obstawiły plac — z czarnej masy obywateli wyłoniła się natychmiast deputacja izraelitów i pierwsza podążyła śpiesznym krokiem przed oblicze generała.

W tym samym czasie jakiś młody semita, nie mogąc snąć wstrzymać rwącego mu się z piersi natłoku uczuć lojalnych — wrzasnął z zapalem:

— Nasz generał niech żyje, niech żyje, niech żyje — ura!

— Uraaa! — podchwyciła skwapliwie deputacja izraelitów, stojących przed generałem.

Ale jednocześnie któryś z członków deputacji, widać przez zapomnienie, wydał okrzyk, tylokrotnie wznoszony podczas ubiegłych miesięcy wojny:

— Hoch! — zadźwięczało histerycznie.

Stary gienerał zmarszczył brew. Skinął na adjutanta i rozkazał donośnie:

— W mordu etawo nachała!

Cudne brzmienie dawno niesłyszanego języka wielko-meksykańskiego obywatela miasta przyjęli z okrzykiem, podobnym do westchnienia.

— Aaaach...

Niektórzy mieli w oczach szczęśliwe łzy.

— W mordu!...

Te słowa brzmiały, jak muzyka... W tej same chwili ruszyli się kawalerzyści konwoju, siedzący na niskich, zwinnych, meksykańskich konikach — a deputacja izraelitów znikła gdzieś momentalnie. Gienerał podniósł głos:

— Gdzie gorodskoj gołowa?

Truchtem wybiegli z tłoku notable z burmistrzem na czele — i falą ruszył się orszak radnych, ławników, sklepikarzy i właścicieli realności, — tych wszystkich, którzy przez cały czas wojny wyczekiwali tęsknie na powrót wojsk rządowych.

— Wi-wi-witam... w imie — imie — imieniu... wiernego — miasta — miasta... — jąkał się burmistrz, szczękając zębami ze szczęścia i podając klucze.

Gienerał przychylnie skinął głową. Rozejrzał się, postrzegł deputację szlachty, obywateli ziemskich, uszykowanych w pobliżu.

— Dierżi striemia — rzucił rozkaz stojącemu obok szlachcicowi.

Obywatel wiejski, człowiek stary, siwy, rasowy, — poskoczył radośnie i ujął z pjetyzmem strzemię, w którym się wspierała stopa dostojnika.

— Kak pożiwajesz, pan?

Gienerał zsiadł z konia i klepnął pobłażliwie po ramieniu starego pana.

— Dworianin?

— Tak jest, tak jest ekscelencjo, jestem szlachcic — skłonił się głęboko delegat wsi: — z dziada, pradziada...

— Twoi priedki buntowali — a?

— Zaślepienie... ekscelencjo, to było zaślepienie... — stary pan zaczerwienił się po same białka: — ja o tym zapomniałem zupełnie!

— A tiepier wot... niedawno... synowja waszi sokoły?... Miatieżniki? Izmienili? A?

— My? Nic... Nasi synowie? Nie... żaden nie poszedł... Może jaki wyjątek... My byliśmy neutralni, to jest wierni... my czekaliśmy na naszych...

— Nu —

— Ekscelencjo... my nic... mój syn... słowo honoru!... Ja będę się starał...

— Nu, nicziewo! Starajsia...

Gienerał uśmiechnął się pod wąsem. Zwrócony do tłumu stał chwilę, popatrzał, potem szeroko machnął ręką i wkroczył wolno w drzwi pobliskiego hotelu. Za nim sztab. Zniknęli. Zostały

na placu tylko sotnie konwoju. Zebrany tłum wydawał długie, gorące, pełne uniesienia okrzyki:

— Ura! Uraaaaa...!

Lekki wiatr niósł echo daleko, na przeciwny, górzysty brzeg. Słońce, cudne meksykańskie słońce złociło krzyże kościołów i grało w wodach rzeki Zapomnienia.



II.

W meksykańskim mieście Simplicitas odbywało się posiedzenie władz. W obszernej sali prefektury aż ćmiło oczy od mundurów, od akselbantów, guzów złotych i srebrnych, od krzyżów i gwiazd orderowych.

Wprawdzie traktat pokojowy został podpisany przed miesiącem, wprawdzie ratyfikowano już pacyficzne akta zamienne i kraj powinienby powrócić pod normalny zarząd cywilny, ale tymczasem władza meksykańska zachowała jeszcze gubernatorstwa wojskowe, raz dlatego, że nie wypadało znieść stanu wojennego ot tak, poprostu z piątku na sobotę; — powtórze, dlatego, że w Meksyku stany wojenne były instytucją niejako narodową, uświęconą tradycją; — potrzebie, dlatego, że w tej materji mógł decydować jedynie Rząd Centralny, który otrzymywał odpowiednie wnioski od wojskowych urzędów prowincjonalnych,—a znów te nie zdążyły jeszcze zbadać

usposobienia kraju w czasie stosunkowo tak krótkim; — po czwarte...

Dość, że były w Meksyku rządy wojenne.

Takie to władze zasiadały właśnie w mieście *Simplicitas*.

Ogromna sala prefektury, ozdobiona chorągwiami o barwach państwowych, tudzież obfitym ornamentem barokowych stiuków, sprawiała imponujące wrażenie. W suficie widniała dewiza państwa, wyryta złotymi głoskami: „*Evviva l'Anarchia*“.

Na prawej ścianie sali, podzielonej przez całą długość wielkim czerwonym stołem, w miejscu, przeznaczonym dla szefa policji, rotmistrza żandarmów, etc... można było odczytać dwa napisy, misternie stylizowane: „*Caveant consules*“ było na górze, — a znowu nieco poniżej: godło trochę demagogiczne, niemniej, trafne: „*Ręka rękę myje*“.

W środkowej ramie widniało oko *Argusowe*.

Na przeciwległej ścianie złocił się humanitarny napis: „*Audiat et altera pars*“.

Po tej stronie, w przeciwstawieniu do władzy wojskowej, reprezentującej Rząd — siedzieli przedstawiciele miejscowej ludności — oczywiście, wobec stanu wojennego — również wojskowi.

Punktualnie, o 2-ej po południu, wszedł generał *Turma-y-Nahaj*. Na powitanie ekscelencji zerwali się wszyscy z miejsc, tak, że przez chwilę stał na sali trzask pałasy, dzwonienie ostróg i rozlegały się krótkie dźwięki wojskowych powitań.

Generał zajął miejsce naczelne u końca stołu, skłonił się zebranym i dał znak ręką, żeby siadali. Spoczął w fotelu. Usiedli wszyscy.

Porozumiawszy się wzrokiem z generałem, powstał szef policji, Canaglia, i zagaił zebranie.

Usiedli tuż obok niego ex officio dwaj asesowie: dyrektor intendatury, gruby caballero Ocovita, oraz Miguel Lues, jednooki rotmistrz żandarmerji. Rozpoczęto obrady. Wobec tego, że polityczną kulturę Meksyku cechował parlamentaryzm, — tok dyskusji postępował szybko, harmonijnie, a głosowanie odbywało się za pomocą akklamacji, przyczym pierwszy podawał votum generał prezydujący, a po nim dopiero inni, oczywiście zgodnie i jednogłośnie.

Posiedzenie rozwijało się prawidłowo.

— ...Musimy stwierdzić — referował szef policji, — że ogółem rzecz biorąc, zachowanie się miasta Simplicitas podczas przymusowej nieobecności naszych sił zbrojnych było wcale nienaganne. Ani Rząd Centralny, ani władze prowincjonalne, nie miały wprost przed wojną pojęcia, ile prawej lojalności śpi w sercach tutejszych obywateli, toczonych jeszcze do niedawna przez toksyny rewolucyjne. Mógłby o tym coś powiedzieć nasz dzielny rotmistrz Lues...

(W tym miejscu powstał jednooki pogromca tysiąc dziewięćset piątej meksykańskiej rewolucji i dziękował z uśmiechem).

— Tak jest! — ciągnął dalej szef policji — dzięki niezmordowanej pracy naszych władz stoimy wobec faktu, że przez cały czas naszej tu nieobecności myślano o nas, czekano na nas i tęskniono za nami. „Nasi wracają“ — mówili sobie ludzie tutejsi, patrząc w górę rzeki Zapomnienia... Na prawym zarówno, jak i na lewym brzegu, w mieście i na wsi — wszędzie byli nasi wierni poddani...

— ...Tak tedy — kończył szef policji — przechodzę do wniosków: w porozumieniu z naczelnikiem więzienia, z rotmistrzem żandarmerji i z najbliższymi współpracownikami — w porządku uproszczonego postępowania wojenno-procesualnego, składamy do uznania ekscelencji listę osób, winnych zbrodni stanu — zredukowaną do minimum. Mając na uwadze zasadniczą lojalność tego miasta, proponuję ułaskawienie wszystkich niepełnoletnich, lekko-myślnych, wprowadzonych w błąd — i tak dalej. W ten sposób osiągniemy wprowadzić śmiesznie małą liczbę, ale okażemy wspaniałomyślność i zdołamy na zawsze serca obywateli. Czy mam odczytać listę?

Generał skinął głową.

Szef policji wziął do rąk papier i zaczął czytać przy ogólnej skupionej uwadze.

1) — Winnych zdrady Stanu z artykułu pierwszego, z rozdziału pierwszego, tomu pierwszego praw wojennych: za miesiąc sierpień: mężczyzn — tysiąc dwustu piętnastu; kobiet — trzysta pięćdziesiąt.

2) — Winnych zdrady Stanu z artykułu pierwszego, z rozdziału pierwszego tomu pierwszego praw wojennych: za miesiąc wrzesień: mężczyzn — dwa tysiące; kobiet — czterysta dziewięćdziesiąt dwie.

3) — Winnych...

— Przepraszam — przerwał nagle generał: — jaka jest cyfra ogólna?

— Mężczyzn i kobiet, ekscelencjo?

— Tak jest, tak jest — niecierpliwił się generał: — wszystkich razem, winnych kary śmierci — ilu mamy?

— Pięćdziesiąt tysięcy — oświadczył szef policji, patrząc w listy. Poczym podniósł oczy i — widząc mars generała — zaczął się tłumaczyć pośpiesznie: — Ja wiem, ja wiem, ekscelencjo, że to mało, nawet bardzo mało... oczywiście, wobec praktyki meksykańskich sądów wojennych... ale, z innej znów strony, wobec zasług, wobec lojalności miasta... taka łagodność podbije, ujmie, oszołomi... Rząd Centralny...

— Już dobrze, dobrze — generał skrzywił się niechętnie — zgoda i na to. Jak łaska, to łaska. Niech będzie tym razem pięćdziesiąt tysięcy.

— Aresztować dziś jeszcze — zwrócił się do rotmistrza.

Poczym rzucił przez ramię naczelnikowi więzienia:

— Powiesi się ich w murach więziennych, serjami.

— Podług rozkazu.

W tej chwili ocknął się z zadumy ex-prezydent Huerta, zazwyczaj milczący, zaś od czasu, gdy został naczelnikiem akcyzy, chronicznie pijany. Podniósł na generała oswiałe, trochę nieprzytomne oczy i zagadnął, roztargniony:

— Ekscelencjo... przepraszam... tego... — chciał powiedzieć? — Aha. Wiem. A ilu też mieszkańców liczy sobie to miasto?... — Przerwał, bo mu przeszkodziła czkawka.

Generał nasrożył się, pomilczał, wreszcie zwrócił się do szefa policji.

— Ile?

— Natychmiast, ekscelencjo, natychmiast!

I szef policji zaczął pośpiesznie przeglądać spisy ludności. Pomagali mu w tym rotmistrz, oraz obaj bracia Diaz. Po chwili zwrócił się do generała.

— Służę, ekscelencjo. Podług ostatniego, dokładnego spisu, miasto Simplicitas liczy czterdzieści dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu mieszkańców... —

Urwał, pobladł i wpatrzył się w generała osłupiałymi, szeroko otwartymi oczami.

Generał zaciął usta.

Na sali uczyniło się cicho, jakby makiem siał. Nagle odezwał się znów niepoprawny Huerta.

— Więc o jedną duszę zamało... co będzie?
Przymrużył bezczelnie lewe oko i obwiodł
salę pijackim, upartym spojrzeniem.

— Co będzie teraz? Hę?...

Żrenice generała napęły się błyskawicami.
Wbił swój wzrok w naczelnika akcyzy — ale
milczał.

Wówczas pochylił się przez ramię generała
rotmistrz żandarmów i zaczął szeptać ledwo dosły-
szalnie, kraszając twarz łagodnym uśmiechem i przy-
mykając powieką swe jedyne oko:

— Ekscelencjo... oddawna borykały się w moim
sercu dwie różne rzeczy: uczucie — i obowiązek.
Obowiązek zwyciężył. Mam niezbite dowody, że ex-
prezydent, a obecnie naczelnik akcyzy, Huerta — —

Generał błyskawicznie porozumiał się z rot-
mistrzem. Starczyło jedno spojrzenie. Prawie nie
poruszając wargami, powiedział:

— Dobrze.

Zamknięto zebranie.

Tegoż wieczora Huerta zawisnął w pierwszej
serji meksykańskiej.

MÓJ RODZINNY DOM.

I.

Za cóż cię tak kocham, mój domie rodzinny...?

Szacowna, starożytna rudero — za cóż cię tak kocham?

Utraciłaś obraz i podobieństwo mieszkań ludzkich; zapadłaś się w nieprzebyty matecznik błota; obłupiłaś z siebie wszelki tynk, wszelkie zaopatrzenie; przeciekasz wszystkimi dziurami dachu; jęczysz żałośnie pod skrzydłami jesiennej wichury i trzaskasz w zimowe noce, kiedy stoją tęgie, nieubłagane mrozy...

Tam, na zachodzie, w Europie — i tam, na północy w krainach kulturalnych Szwedów, Norwegów i Finów — i tam — za oceanem, w bogatej, pracowitej, niepojętej Ameryce — obywatele krajowi stawiają sobie inne budowle — i żyją w nich — i chwalą ją czynem i pieśnią.

— Home... sweet home...

Ucywilizowane życie podniosło ludzi ze stanu rozproszonych pierwotnych Nomadów i skupiło ich w murach zamków i średniowiecznych miast... potem ci ludzie rozwalili one mury i poszli w cały świat. — Z pieśniami! A potem wtórnie skupili się i pobudowali nowe miasta, dziesięćkroć, stokroć większe i wspanialsze od dawnych...

Zabudowali ziemię gmachami wielopiętrowymi. Najeżyli kraj kominami fabryk i warsztatów...

Zaprowadzili sto ulepszeń — wedle zdrowia, wedle praktyczności, wedle bezpieczeństwa i wedle szybkości życia...

I nigdy nie żyło się tak szybko jak teraz. I nigdy nie czyniono tak rozpaczliwych wysiłków, aby czas życia ludzkiego przedłużyć.

Ale na próżno, bo ludzie umierają dziś zniechęceni, nie doczekawszy owej dawnej, spokojnej, słonecznej starości...

Za cóż cię tak kocham, mój domie rodzinny...?

Wiem, że twój zgrzybiały spokój nie będzie moim spokojem — bo jestem jednym z tych, którzy muszą żyć prędko i umrzeć zniechęceni...

Wiem, że twój czcigodny, zapleśniały archaizm nie wyrwie mnie z powszedniości i postępu, bo wszyscy ludzie, żyjący dziś na świecie, są sługami powszedniości i postępu — i każdego znajdzie podatek, pozew sądowy, wiadomość społeczna i iskra telegrafu.

Choćbym zawiesił okna, zatarasował drzwi, przeciął wszystkie druty, znajdujące się w okolicy, obalił wszystkie słupy — i postanowił żyć ze sobą tylko — i dla siebie — zmuszą mnie do życia ze wszystkimi — i dla wszystkich.

Zato zaś, że uciekając od społeczeństwa zniszczyłem słupy i druty, zato, że chciałem się wyrzec pism, zebrań, teatrów, parlamentów i muzeów — zostanę wprowadzony znowuż w drzwi postępu i powszedniości, tym razem może przez szpital, albo więzienie.

I niema dla mnie ratunku, ani ucieczki.

Więc, i ty, mój nędzny domie rodzinny nie uchronisz mnie od świata, mimo paradoks twojego wyglądu, mimo bluźnierstwo przeciw europejskim pojęciom kultury, bezpieczeństwa, higieny i dróg komunikacji!

Coś mi świta...

Miałem obok siebie rezydentów, burgrabiów, rządców — a w sieniach hajduków, lokaji i pacholków. Między moim salonem, a sienią — przemykali się dworzanie rękodajni, niby łączniki tego — i tamtego świata.

To nie było wszystko.

Naokoło mnie rozlewał się obszar ludzki — w miarę znany, ażebym mógł go nazywać własnym — w miarę obcy, aby mi przepaść między m o j ą samotnością, a i c h ludnym obszarem, — wypełniało marzenie.

Chłopi...

Niewiem jeszcze, czy to jest prawda, ale zakochałem się w roli kapitana na samotnej fregacie, kapitana pośród obcych fal. W narodzie, niby w przestworzu morskim żeglować w czas, nie wiążąc się z losami tego narodu — to piękna, wyniosła rzecz.

Patrzę na chłopską cnotę i na chłopską podłość, patrzę na głęboki ich rozum — i na odwieczną głupotę i czuję się sędzią ich życia, uprawnionym do opowiedzenia się za nimi, albo przeciwko nim. Mogę napisać czerwony uniwersał, uwolnić ich, uszlachcić, przyjąć do herbu, — mogę założyć im szkołę — albo spoić wódką, pogрузić w chamstwie i snuć się między nimi w towarzystwie arystokratycznych cudzoziemców... Między kwiatami naszej wykwintnej konwersacji w obcym języku, między zasobem mojej tradycji — a pierwotną pustką ich historii — — między ozdobnymi okresami mojej kultury, a brutalnym idiomem tych ludzi, należących podobno *też* do narodu — jest przepaść.

Tę przepaść mogę zapełnić sobą. Mogę zapłodnić najpiękniejszą, barwną myśl ludową i stworzyć najmłodsza rasę... Mogę rzucić w przepaść kamień — i nie stanie się nic, albo prawie nic.

W przepaści tej leżą już setki, tysiące podobnych kamieni.

Chłopi...

Zrozumiałem.

Jestem *indywidualistą*. Tylko tutaj modeluję siebie i ludzi na kształt własnych moich myśli. Jedynie tutaj mogę uzależnić od indywidualnej woli byt, lub też niebyt organizacji społecznej.

Pójdę z nimi — albo odwrócę się plecami. Jak mi się spodoba.

Oprę się cywilizacyjnej niwelacji, a przestrzeń piasków, błot i bajorów będzie moją fortecą.

Będzie jeszcze moją fortecą powszechny alfabetyzm, bierność, przesąd, oraz osobliwa terapia rodziców, zamykających swe chore na szkarlatynę dziecko w rozpalonym szabaśniku.

Jestem sobą.

Obca niewola — obcy rząd — nie dotyka się mojej duszy. Zbirom, którzy szpiegują o zmierzchu i najętym strażnikom, czającym się w długą narodową noc — mogę się wykupić garścią złota.

Jestem sobą.

Sam stanowią o sobie.

Z dziadów pozostało mi złota akurat tyle, że stać mnie na łapówki dla jednych, na żołąd dla drugich, na kwiaty i miód dla siebie — i na groszaki dla nich.

.

Dlatego kocham mój rodzinny dom.

II.

Nie kocham cię, mój domie rodzinny.

— Kto wie? Jeśli znajdę dobrego kupca, może cię sprzedam.

— Kto wie? Może cię sprzedam za byleco, bo ktoś kupi starą, zapleśniałą budowlę... Utraciłem wiarę w moją nietykalność. Pryśło Tabu. I tutaj znalazło mnie życie, żądając mojego udziału w sprawie budowy, organizacji, rządu, służby — i tak dalej. Żądają ofiar. Żądają udziałów. Żądają pracy. Nocą zasnąłem na bezludnej wyspie, nad którą panowałem niepodzielnie, — zaś rano dowiedziałem się, że na wyspie tej są ludzie i że mam z nimi podzielić władzę.

— Przenigdy!

Sprzedam cię, mój marny domie rodzinny, zlikwiduję majątek... ziemię, las, pola, zmurszałe belki i aparat mieszkania zamienię na monetę brzęczącą. Tylko ta ma kurs w kraju i zagranicą. Znajdę sobie taką oazę, taki lud, gdzieś — w równikowych szerokościach — a może pośród lodów — a może na kwitnących wulkanach — gdzie nie zacięży na mnie żaden obowiązek. Zbuduję sobie nowy kasztel i zacznę żyć od początku.

— Jakto? Przez fakt, że posiadam, winien jestem zdawać sprawozdanie...

— Komu? Czerni?

— Jakto? Przez fakt, że jestem zdrow, albo chory — winien jestem wejść jako cyfra, do roczników statystycznych?

— Jakto? Przez fakt, że lubię, albo nie lubię, mam się wypowiedzieć politycznie?

— Jakto? Przez fakt, że mnie spłodzili urodzeni szlachetnie rodzice moi, mam się wiązać w jakąś sieć nieznośnych obowiązków i wątpliwych praw — ?

— I wy to nazywacie *ojczyzną*?

Nie kocham cię, mój domie rodzinny. Żałuję, że nie jesteś przedmiotem ruchomym, gdyż sprzedałbym cię niezwłocznie na targu dnia jutrzejszego. Ja sam... ja sam nie ćwiczony jestem w handlu i nie lubię handlu, ale sprzedałbym cię przez mojego lokaja, albo przez kupca, albo przez pośrednika. Chcę być wolny.

Wybiorę sobie najśłodszy, najzdrowszy klimat, gdzie zimą i latem jest sucho, wonnie i słonecznie. Gdzie niema chorób zaraźliwych. Gdzie niema brudu, ani nędzy. Zamieszkam w murowanym, białym domu — najlepiej na wzgórzu — gdzie balkony mają marmurowe balustrady, gdzie kwiaty zagląдают do okien, a odgłos kroków tłumią puszyste dywany. Przyswoję sobie najmiłą, najpogodniejszą kulturę. Nie chcę kontrastów zbyt silnych. Społeczeństwo ma być tak urządzone, że bym nic nie potrzebował wnosić. Mój kapitał będzie zabezpieczony przez skarb państwa, albo przez

jakiś wszechświatowy, niezachwiany bank. Unormuję moje stosunki, jak mnie się będzie podobało... Mam wewnętrzne prawo do wygod. Nie będę dłużej odkładał.

Jutro na rynku, albo u notariusza, sprzedam tę starą rudę pierwszemu lepsze. Wyrzeknę się tego domu rodzinnego i rozejrzę się za lepszym. Zrzucę moją narodowość, jak znoszony, dziurawy płaszcz — i stanę się Wszechczłowiekiem.

* * * * *

Zapłacono mi znacznie więcej, niż się spodziewałem. Mam na piersi pełno papierowych pieniędzy, a w kieszeniach cięży mi złoto. Jestem bogaty...!

— Zabawne!

Dziś na ulicy jakiś człowiek wziął mnie za nędzarza. Wyciągnął do mnie rękę z jałmużną.

Pokazałem mu moje złoto. Powiedziałem, że jestem bogaty!

Pokiwał głową — uśmiechnął się — i odszedł...?



NEUTRALNI.

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE.
W TRZECZ SCENACH.
W BLISKIEJ PERSPEKTYWIE.

(Poleca się uwadze PP. Obywateli ziemskich, tudzież Radcom miejskim i teatrzykom amatorskim na prowincji.)

OSOBY:

HRABIA

OBYWATEL 1

OBYWATEL 2

OBYWATEL 3

LOKAJ.

SCENA I.

(U hrabiego. Pałac na wsi. Gabinet pana).

LOKAJ *(wchodzi i melduje)*. — Proszę jaśnie pana, przyjechało trzech panów.

HRABIA *(szybko)*. — Proś.

(Wchodzą: obywatel 1, obywatel 2, obywatel 3).

OBYWATELE. — Witamy pana hrabiego.

HRABIA *(idąc skwapliwie na ich spotkanie)*:
— Witam kochanych sąsiadów! Siadajcie proszę.
Siadajcie!

OBYWATELE *(razem)*: — Dziękujemy. *(Siadają)*.

HRABIA. — Kurz?

OBYWATEL 1. — Straszny kurz!

OBYWATEL 2. — Niema deszczu...

OBYWATEL 3. — Susza.

HRABIA. — Czy przystąpimy zaraz do obrad?

OBYWATEL 1. — Tak jest.

OBYWATEL 2. — Wskazany jest pośpiech.

OBYWATEL 3. — Periculum in mora!

HRABIA (*zagaja*). — Wiadomym jest panom cel dzisiejszego zebrania...

OBYWATELE (*solidarnie*). — Tak jest.

HRABIA. — Sytuacja polityczna, wytworzona... opuszczenie, w jakim się ten kraj znalazł po wymarszu wojsk i wycofaniu się władz krajowych...

OBYWATEL 1 (*poprawiając, z uśmiechem*). — Państwowych...

HRABIA (*pośpiesznie*). — Tak jest. Chciałem powiedzieć: państwowych.

OBYWATEL 2. — Właściwie, ściślejby należało rzec: rządowych.

OBYWATEL 3. — Właściwie, to jedno i samo.

HRABIA. — Tak jest. Otóż, sytuacja wytworzona... aha, o tym już mówiłem. Ma foi... co ja chciałem powiedzieć?... A, tak! — Sytuacja. Tedy, przechodząc do wniosków, streszczam się: wobec trudności, że użyję tego śmiałego wyrażenia — politycznych (*ogląda się na drzwi — i kończy*) — musimy ustalić platformę... (*szeptem*) ja głosuję za neutralnością!

OBYWATEL 1. — Złote słowa. Interwencjonizm gubił całe narody. Neutralność! O! To jest właściwe słowo.

OBYWATEL 2. — Nie mieszamy się do niczego. Praca tylko — i wytrawny rozsądek będą naszymi hasłami.

HRABIA. — Tak!

OBYWATEL 3. — Broniąc majątków, nie angażując się w żadne awantury polityczne, zachowamy wpływ, a nie narazimy się na ryzyko. Dla kraju —

LOKAJ (*wchodzi i melduje*): — Podano do stołu.

OBYWATEL 3 (*kontynuując*). — Dla kraju —

HRABIA (*do gości, przerywając*). — Napijemy się wódki, panowie.

SCENA II.

(*U hrabiego. Rok później. Ten sam gabinet*).

HRABIA (*do lokaja, gniewnie*). — Gdzież się podziewałeś, bałwanie!

LOKAJ (*z wysiłkiem stawiając na ziemi ciężki kosz, pełen dokumentów*). — Jaśnie pan kazał mi przynieść kwity rekwizycyjne.

HRABIA (*łagodnie*). — Aha. Dobrze. A kwity z folwarków?

LOKAJ. — Wypadnie poczekać, proszę jaśnie pana hrabiego. Pan rządca posłał parę z Kubiakowej fornalki, ale koniska zmorzone z tej sieczki, więc się obaliły. Już posłali po dziewczki: przyniosą toto w fartuchach.

HRABIA. — Dobrze.

(*Pauza*).

LOKAJ. — Jaśnie pan na którą godzinę czeka panów?

HRABIA (*roztargniony*). — Zaraz przyjadą. (*Patrzy na lokaja i mówi gniewnie*). — W co ty się ubrałeś, durniu? W tych poszarpanych spodniach wyjdiesz do gości?

LOKAJ (*żałośnie*). — Nie mam lepszych, proszę jaśnie pana hrabiego.

HRABIA (*z wybuchem*). — To sobie kup!

LOKAJ. — W mieście nie uszyją za żadne pieniądze.

HRABIA. — Co ty gadasz? A inni ludzie w czym chodzą?

LOKAJ (*ponuro*). — Ano — chłopci, to już chodzą całkiem bez spodni. Dziedzice to różnie. Naprzykład dziedzic z Dziurkowa nosi żoninę wyprawną salopę... żydki — to ta jeszcze niezgorzej... Wiadomo, żydki.

HRABIA (*przerywając, szybko*). — Zdaje się, że ktoś zajechał. Idź-no, zobacz!

LOKAJ. — Słucham.

(*Wychodzi*).

(*Hrabia idzie pośpiesznie do biurka, macza obsadkę w atramencie i pośpiesznie zasmarowuje swój lewy, pęknięty kamasz*).

LOKAJ (*wchodzi i melduje*). — Przyjechało trzech panów.

HRABIA (*odwraca się szybko, chowając po za siebie powalaną obsadkę*). — Proś.

(Wchodzą obywatel 1, obywatel 2, obywatel 3).

OBYWATELE. — Witamy pana hrabiego.

HRABIA *(ściska im ręce, uradowany)*. — Witajcie panowie! Witajcie sąsiedzi. Jakże się cieszę... proszę siadać...

OBYWATELE. — Bóg zapłać, hrabio.

(Siadają).

HRABIA. — Kurz?

OBYWATELE. — Straszny kurz! Susza...

HRABIA. — Dzisiaj rocznica...

OBYWATEL 1. — A, tak: rocznica naszego zeszłorocznego zjazdu.

OBYWATEL 2. — Rok minął. Mój Boże...

HRABIA. — Czekałem na panów z niecierpliwością. Myślałem już, że nie przyjedziecie.

OBYWATEL 3. — Spóźniłmy się... ale wierzaj mi, hrabio — wszystkiemu ten cielak winny.

HRABIA *(zdziwiony, podnosi lekko brwi)*. — Pardon... nie rozumiem. Jaki cielak?

OBYWATEL 3. — No, cielak od krowy.

HRABIA *(skonsternowany)*. — Ma foi...

OBYWATEL 1. — Hrabia nie rozumie? Otóż wyjaśnię. Jak hrabiemu zapewne wiadomo, żaden z nas niema już koni. Ja ostatni z sąsiadów miałem do wczorajszego dnia klacz —

HRABIA. — Ma foi...! Rozumiem... I ja tam mam z dawnych trzydziestu fornalek — tylko dwie. Ale przepraszam najmocniej, przerwałem, zdaje się?

OBYWATEL 1 (*kontynuując*). — Otóż miałem do wczoraj klacz — ale ta klacz — zdechła... —

HRABIA. — *Débaclé!*

OBYWATEL 1 (*kontynuując*). — Zdechła, bo miała zresztą dwadzieścia dwa lata, więc jej nie zarekwirowano...

HRABIA. — *Hélas!*

OBYWATEL 1 (*kontynuując*). — Więc kiedy pojawili się u mnie piechotą sąsiedzi, licząc na ową klacz, co miałem robić? — — zaprzęgiem krowy — —

HRABIA (*zdumiony*). — Krowy! O! — ! —
Des vaches?

OBYWATEL (*łagodnie*). — Des vaches... Ale...

HRABIA. — Ale — ?

OBYWATEL 1 (*kończy*). — Ale jedna z tych krów właśnie w powozie w zaprzęgu — ocielila się.

(*Pauza*).

HRABIA (*po chwili*). — *Débaclé...*

(*Pauza*).

OBYWATEL 1. — Tak, tak...

HRABIA. — Cóż cielak?

OBYWATEL 1. — Zdrów.

(*Pauza*).

OBYWATEL 2. — Możebyśmy przystąpili do obrad?

OBYWATEL 3. — Jak panowie uważają?

HRABIA. — Oczywiście, oczywiście.

OBYWATEL 2. — Musimy skonstatować, że aczkolwiek wśród piekielnych trudności, stoimy przy sztandarze narodowym.

HRABIA (*obejrzał się szybko*) — Mów pan ciszej.

OBYWATEL 2 (*szeptem*) — Bronimy naszego narodowego stanu posiadania i jesteśmy na drodze do zadokumentowania świata naszej tęsknoty politycznej.

HRABIA (*obejrzał się znów, teraz syknął, zdenerwowany*): — Ciszej... panie.

OBYWATEL 2 (*cichutkim szeptem*). — Dobrze hrabio — (*do obywateli sąsiadów*) otóż, to, co mamy, zawdżeczamy naszej neutralności! (*tryumfalnie*) — Tak!

OBYWATEL 1 (*szeptem*). — Tak jest! Tak jest! Święte słowa!

OBYWATEL 3. — A chociaż trochę znużeni ekonomicznie, chociaż — jakby to powiedzieć? — trochę wyczerpani — dzięki neutralności — ustrzegliśmy się politycznych hazardów. Panowie! wytrwamy dalej w tym kierunku! — —

WSZYSCY. — Tak jest!

OBYWATEL 3 (*kończąc*). — Do końca neutralni — dla kraju —

LOKAJ (*wchodzi, przerywa i melduje z pewnym wahaniem*) — Podano do stołu.

OBYWATEL 3 (*kontynuując*). — Dlatego też —

HRABIA (*przerywając*). — Napijemy się wody, panowie.

(*Pauza*).

HRABIA (*przymilnie, z niejakim zakłopotaniem*). — Uważacie, sąsiedzi... niemam u siebie narazie... tego... alkoholu... ani wogóle... com chciał powiedzieć... napojów... ale woda...

OBYWATEL 1 (*przychodząc hrabiemu z pomocą*). — Woda jest bardzo zdrowa! Ja osobiście przepadam za wodą.

HRABIA (*ucieszony*). — O... właśnie. Ma foi...

OBYWATELE (*razem*). — My wszyscy i to od dłuższego czasu pijamy tylko wodę!

HRABIA (*rozpromieniony*). — Ma foi!

SCENA III.

(*U hrabiego. Ten sam gabinet. Jeszcze rok później*).

.
.
.
.
.
.
.
.



PRZEMYSŁ.

„...Pisma doniosły swojego czasu, że w ostatniej chwili odwołano w Przemyśle gościnne występy artystów Petersburskich Cesarskich teatrów”.

I.

Komenderujący generał chodził zdenerwowany po swoim gabinecie. Przy drzwiach, wyprostowani po wojskowemu stali: naczelnik artylerji fortecznej, policmajster miasta Przemyśla i szef trakcji kolejowej.

Generał zwrócił się do naczelnika artylerji:

— Więc pan twierdzisz, że granaty do naszych dział nie pasują?

— Nie pasują, Wasze priewoschoditelstwo.

— Pociski są innego kalibru, niż działa?

— Tak jest. Innego kalibru.

— Ot, nieporozumienie... — Hę?

— W samej rzeczy — nieporozumienie...

Generał zaklął cicho.

— Czort pobieri! Zawsze mówiłem, że w takich warunkach. nie sposób prowadzić wojnę... a cóż dopiero — wygrać... Awantura...

— Ekscelencjo! — odezwał się naczelnik artylerji: — wierzę w hohaterstwo naszych dzielnych żołnierzy. Chociaż amunicja nie dopisała — duch zwycięży.

— Duch?

— Tak jest, ekscelencjo!

Gienerał popatrzał ironicznie, pomilczał, poczym — dosyć nieoczekiwanie — splunął.

Przeszedł się parę razy po pokoju, wyrżał przez okno na rynek. Zatrzymał się nagle przed policmajstrem.

— Cóż słyhać w mieście? — zagadnął.

— Wszystko w porządku. Nastrój wśród żołnierzy i mieszkańców znakomity — meldował policmajster,

— Tak. — A żydzi?

— Wczoraj wysłałem ostatnią partję do centralnych gubernji.

— Ot, i znieśliśmy w Rosji granicę osiadłości — co? Ha, ha! ha!

— Ha, ha! ha!

— Tak. — A polacy?

— Siedzą cicho.

— Cicho?

— Zupełnie cicho, ekscelencjo.

Gienerał zamyślił się.

— MoŜnaby wezwać komitet polski i obiecać im na wszelki wypadek... no, rozumiesz pan... to i owo... ująć... ugłaskać...?

— Ująć?

— Uhm...

— Komitet?

— No, tak.

— Komitet już ujęty, ekscelencjo i znajduje się w Kijowie.

— Aha!... — generał kiwnął głową — to i dobrze.

Podjął po chwili:

— To moŜeby z pozostałych tutaj... wybitniejsi obywatele polscy... przecieŜ ktoś musiał w Galicji pozostać?

— Niema nikogo.

— Masz tobie. A polacy wciąż twierdzili, że mają tutaj większość... bezczelność! No — a dokąd wyjechali?

— Do Kazania.

— A! Do Kazania. Wyjechali! Ha, ha!.. Doskonale. A kler? Duchowni?

— Udali się do metropolity Szeptyckiego.

— Udali się? Bajeczne! Rzeczywiście udali się...! Do Wiatki? Czy do Ufy? — A moŜe do Irkucka?

Policmajster zaprzeczył:

— Nie, ekscelencjo. Narazie skierowano ich do Moskwy.

Generał zaśmiał się donośnie.

— Brawo! Do Moskwy, to do Moskwy. W ten sposób oczyścimy całą Galicję. Jestem spokojniejszy o Przemyśl. Drogo nas kosztował, ale go już nigdy nie oddamy!

Przeszedł się po pokoju. Nagle, zasępiony, stanął i zwrócił się do szefa trakcji kolejowej.

— Piotr Wasiljewicz! Potrzebne mi są wszystkie pańskie wagony — cały tabor kolejowy, ruchomy — mam wiadomość że Niemcy zbliżają się do fortecy... tak samo Austriacy... X korpus... dawniej przemyski... musimy na gwałt sprowadzić amunicję. Ale to na gwałt. Mamy tydzień czasu. Nie więcej! Musisz się pan porozumieć z naczelnikiem artylerji. Natychmiast. Depesze wysłano do naczelnej komendy, do Brześcia, do Arsenałów. Żądamy amunicji z fabryk rosyjskich. Amerykańskie i japońskie granaty wyglądały może lepiej — ale cóż? Kiedy nie pasują. Nie pasują... Więc uważasz pan — pośpiech!

Milczący dotychczas szef trakcji salutował, przyłożył ręce do szwów i zameldował:

— Podług rozkazu, ekscełencjo. Stan Dépôt: czterdzieści dwie lokomotywy, tysiąc pięćset wagonów, trzydzieści dwie platformy, sto pociągów salonowych, piętnaście drezyn motorowych, dziewięć—

— Doskonale! — przerwał mu generał — doskonale. Wszystko uruchomić. Dokładne rozkazy otrzymasz pan dziś w moim sztabie, za godzinę.

— Podług rozkazu.

— Żegnam panów — generał skinął głową
oficerom — Pamiętajcie: pośpiech nakazany!

— Podług rozkazu!

Zasalutowali i wyszli.

Generał podszedł do biurka, zdjął słuchawkę
telefoniczną i zadzwonił. Po chwili, połączony, za-
czął szybko nerwową rozmowę.

— Czy to Lwów? Centrala? Allo?

—

— Kwartira gienierał-gubernatora?

—

— Graf Bobrinskij? Allo!

—

— Ech, Wołod'ka, podliec! Co ty myślisz
o Przemyślu! Hę?

—

— No, to co?

—

— Napliewat'!

II.

Mijał tydzień. Wobec groźnej sytuacji i na-
poru nieprzyjaciela komenderujący generał praco-
wał gorączkowo, wysyłając co chwilę grupy adju-
tantów i ordynansów. Telefon i telegraf pracowały
również bez przerwy. Pod wieczór zebrał się
u generała cały sztab. Przybyli dowódcy dywizji,

komendant artylerji... roziło się od pułkowników, od kapitanów.

Wpadł szef trakcji kolejowej. Komenderujący generał rzucił się doń groźnie:

— Piotr Wasiljewicz! Do stutysięcy djabłów! Czołowe forty w ogniu. Gdzie amunicja? Co robi kolej? Kto za to odpowie? Pod sąd pana oddam. Pod sąd!

— Ekscelencjo... sam jestem w rozpacz — bronił się napadnięty — telegrafuję od rana... donoszą mi, że wszędzie linja wolna, czyściutka jak szkło... przed godziną meldowała stacja Bobrinskaja, że przeszło trzydzieści pociągów... to samo meldowała następna stacja: Jewłogjewskaja... nie pojmuję...

Generał sponsował z gniewu.

— Zobaczymy!

Zastukał aparat. Pomknęły depesze po linji.

Piętnasta stacja od Przemyśla, Kazionka, doniosła, że wszystkie pociągi przeszły pomyślnie i że szły w stronę fortecy z podwojoną szybkością.

Czternasta stacja, Popowka, doniosła to samo.

Trzynasta stacja, Intiendantskaja, też przepuściła amunicję...

Generał pinił się.

— Intiendantskaja otworzyła semafony, więc czegoż pan jeszcze chcesz? Dalej się już nic nie mogło stać! To była jedyna stacja węzłowa, gdzie

się zdarzały stale katastrofy i nieporozumienia... ale trzydzieści pociągów — przeszło! Gdzież są?

Telegrafowano dalej. Czas płynął... Wszystkie punkty nowej kolei galicyjskiej, wszystkie nazwy stacji, przypominających, że kraj ten był i jest rdzennie rosyjskim, dźwięczały kolejno w uszach generała i jego sztabu.

Romanowo... Daniil - grad... Nikołajewskaja... Rasputinskaja... Wziatocznaia...

Aż przyszła kolej na ostatnią stację przed Przemyślem.

Aparat wystukiwał odpowiedź.

— „Babja gorka.“

— „Babja gorka? — naczelnika stacji! Naczelnika stacji — żywo! Komenderujący generał wzywa.“

— „Babja gorka. — Naczelnik stacji. — Czekam na rozkazy.“

Generał drżał z niecierpliwości. Najpierw ręką, teraz całym ramieniem, wspierał się na barkach sztabowego telegrafisty, który spocony, czerwony, jak rak, rozwijał i zwijał wąskie paski depesz, uginając się pod ciężarem ekscelencji.

— „Czy stacja przepuściła transport amunicji dla Przemyśla?“ depeszował generał.

— „Meldujemy, że żadnego transportu amunicji nie było“ — brzmiała odpowiedź.

— „Komenderujący generał najsurowiej rozkazuje rzecz zbadać“ — depeszowano naczelnikowi

stacji: „pociągi z amunicją podług raportów telegraficznych z całej linii wyszły do waszej stacji.“ Zapanaowała przerwa. Gienerał biegał po gabinecie, jak zraniony tur. Sztabowcy stali wyprostowani pod ścianą. Telegrafista ocierał pot z czoła.

Zaterkotał aparat.

Telegrafista schylił się skwapliwie i zaczął czytać depeszę.

— „Meldujemy, że ani na stacji, ani na dystansie niema pociągów z amunicją. Nic nie wiadomo“.

Tak brzmiała odpowiedź z Babiej góry.

Gienerał zatoczył się, jak pijany. Któryś z adjutantów podsunął mu fotel. Upadł raczej, niż siadł, ścisnął rękami poręczce i zawołał chrypliwie:

— Co to jest? Czy który z was coś rozumie? Cały tabor pociągów zginął z powierzchni ziemi? Czy ja zwarjowałem?

Sztabowcy milczeli.

Zadrżały szyby. To zajęczało echo od fortów...

— Przekleństwo!... Przekleństwo!... Trzydzieści pociągów... trzydzieści pociągów przepadło, jak kamień w wodę! Co to jest?

Gienerał rozdarł mundur na piersi. Dusił się.

Błady jak ściana, podszedł do niego naczelnik artylerji fortecznej.

— Ekscelencjo... nieszczęście... co zrobimy?
Forty w ogniu... za kilka godzin...

Generał wydał jakiś nieartykułowany krzyk, złapał się za głowę i począł biegać znów po pokoju.

Sztabowcy milczeli.

Nagle dźwięknął aparat. Wszyscy rzucili się do telegrafisty. Aparat stukał, stukał, stukał — całą wieczność zdawało się trwać to stukanie. Nareszcie ucichło. Depesza brzmiała:

— „Naczelnik stacji Babia górka melduje do komenderującego generała, co następuje: Na linii stoi trzydzieści pociągów, zajętych przez operę i balet Cesarskich teatrów w Piotrogradzie. Artyści i statysci w trzech pociągach, w innych administracja, maszyniści i dekoracje. W pociągu salonowym raczy jechać Jego Wysokość, wielki Książę Cyryl w towarzystwie artystek Cesarskiego baletu, udających się na gościnne występy do —

.
.

Tej samej nocy, brawurowym atakiem, piechota bawarska zdobyła pierwsze trzy forty Przemysła.



SERCE WARSZAWY.

FELJETON WSPÓŁCZESNY, DRAMATYZOWANY.

SCENA 1.

W Salonie Markizy.

MARKIZA (*do swojego adjutanta*). — Jakież wiadomości?

HERBU TRĄBY SZCZWAN (*adjutant Markizy*). — Bardzo złe, Markizo.

MARKIZA. — Niestety! Czy doszło już coś określonego z poza kordonu?

SZCZWAN. — Hèlas!

MARKIZA. — Znowu tosamo? Polacy galicyjscy? I ci biedni opętańcy? Tak?.. Cher monsieur... mów mi pan całą prawdę... więc te Legjony, to nie jest mit? To rzeczywistość?

SZCZWAN. — Hèlas ..

MARKIZA (*z bólem w głosie*). — Biedna Warszawo! Cała robota, cały wysiłek na nic. Co na to powiedzą nasi przyjaciele... muszą wiedzieć... dotychczas generał nie zdradził się ani słowem... ale, cher monsieur! Uwierzysz pan? Onegdaj u księżnej na raucie był przygnębiony, jak nigdy —

SZCZWAN. — Czy można się im dziwić, Markizo?

MARKIZA (*z uczuciem*). — Niemożna, nie. Naturalnie — widzą całą niewdzięczność naszego społeczeństwa, widzą zdradę polaków, którzy zapominają o wspaniałomyślnych obietnicach Wielkiego Księcia —

SZCZWAN. — Tak. Ta garść gubi Polskę.

MARKIZA (*z wybuchem*). — Des fous! Des vagabonds! Des francs — tireurs!

SZCZWAN. — Żywioly podziemne. Demagogiczna hałastra rodzimych sankiulotów... Markizo... niech Bóg broni, żeby mieli odnieść jakiś sukces... znaleźliby swoją Lamballe —

MARKIZA (*z przerażeniem — zasłaniając oczy ręką*). — Zamilcz pan. C'est terrible!

SZCZWAN. — Nazywają się wojskiem. Parade! Mają pretensję do narodu! Piętnują naszą pracę, nasze dyplomatyczne zabiegi... podają w wątpliwość nasz patryjotyzm...

MARKIZA. — Oh, les ingrats!

SZCZWAN (*cierpko*). — Psują wszystko.

MARKIZA. — Biedna Warszawo.. Biedna, biedna Warszawo!

We drzwiach zjawia się służący i anonsuje bardzo solennie:

— Jego Ekscelencja, pan gubernator.

MARKIZA (*z porywem, zrywając się z kanapy*). — Proś!

SCENA 2.

GUBERNATOR (*wchodząc*). — Bonjour, bonjour, madame... Witam Markizę.

MARKIZA (*wdzięcznie*) — Dzieńdobry. Quelle chance! (*podczas gdy gubernator całuje jej rękę*)... Właśnie rozmawialiśmy o ekscelencji z panem Szczwanem.

GUBERNATOR (*podaje rękę Szczwanowi*) — Zdrastwujcie, mr. Szczwan. Mile pana widzę... państwo zawsze razem. La plus charmante de dames polonaises — et vous, gentilhomme polonais — précieux exemplaire raisonnable!

SZCZWAN (*z ukłonem*) — Très flatté, mon général.

GUBERNATOR (*z uśmiechem*) — Czystnoje słowo! Wie o państwu nawet Wielki Książę... sprawa ze złotą szablą dla generała Ruzskiego... votre lettre charmante...

SZCZWAN (*rozpromieniony*) — ...Comblé, mon général!

GUBERNATOR (*zwracając się do Markizy, lekko*) — Tak jest, tak jest, Markizo. W sferach cenią sobie wysoko sposób myślenia państwa i działalność... enfin, — wszystko, wszystko jest wiadome. (*po pauzie*) A rzeczywistość tymczasem jest twarda, bardzo twarda... (*zamilkł — po dłuższej pauzie*) — Certaines démarches... Kroki niektórych polaków... Warszawa podziemna... wsie eti byw-

szije socjaliſty, bojewiki — a tiepier patrijoty, szo-
winisty, sokoły, liegjonisty — horrible!

MARKIZA (*boleſnie*) — Tak, tak ekſcelencjo.
C'est horrible!

GUBERNATOR (*z naciskiem*) — Liberté...
Tak, konieczno... polacy będą mieli ſamo-rząd,
ale czyż podobna kompromitować ſię w ſpiskach
przeciwko monarchji. Zdrada ſtanu. Konczitsia
oczień płacziwno!

MARKIZA. — Pojmuję, pojmuję gienerale!

SZCZWAN (*polubownie*) — Ci nieſzczęſni
liczą może na wſpaniałomyślność rządu...

GUBERNATOR (*błyſnął oczami*) — A? jak
pan powiedział? Wſpaniałomyślność?.. Charaſzo
ſkazano?! Dla kogo? Dla zdrajców?

SZCZWAN — Ekſcelencjo —

GUBERNATOR — Dla zdrajców! — —

MARKIZA (*rzuciła piorunujący wzrok na
Szczwana, teraz ſkłada błagalnie ſwe piękne ręce
i patrzy w oczy gienerała*) — Gienerale... mon
Dieu...

GUBERNATOR (*W raży, cały czerwony*) —
E, czort! Przepraszam, Markizo, ale tego, to za
wiele! Wſpaniałomyślność!! (*nasrożył ſię i wskazał
palcem na Szczwana*) A? Dla kogo? Dla nich?
dal legjonerów, sokołów? Dla zdrajców? A wiſieli-
ca — nie łaska! (*Urwał. Nagle zrywa ſię, patrzy pro-
sto w oczy Szczwana*) — Mr. Szczwan! Zdrajcy-ż to,

czy nie zdrajcy? Votre opinion? Prędzaj! (*groźnie*) — Nu?

SZCZWAN (*zalekniony, waha się chwilę, wreszcie jąka*). — Zdraj... zdrajcy...

GUBERNATOR (*do Markizy*). — Et vous, madame?

MARKIZA (*skwapliwie, spuszczaając oczy*). — Zdrajcy.

GUBERNATOR (*chwilę stał. Kiwnął głową. Powoli wyraz zadowolenia przewinął mu się przez usta. Uspokoił się. Siadł. Zaczyna*). — Eh bien, madame — nous sommes d'accord! Des trâitres. Passons. Parlons d'autre chose... Votre oeuvre de bienfaisance..? Ça marche?..

MARKIZA (*z ulgą, radośnie*). — Mais, oui! mais oui. Vous savez, cette bonne Varsovie est si charitable!

GUBERNATOR (*śmiejąc się*). — Coeur de bonne fille? Ha, ha!

MARKIZA (*śmiejąc się*). — Cette pauvre Varsovie?... C'est ça: coeur de bonne fille...

Zmiana dekoracji.

SCENA 3.

Wieczór. Na jednym z rogów Nowego Świata.

OFICER (*do prostytutki*) — Kuda ty, panielka, — a?

PROSTYTUTKA (*przystępuje, patrzy pytająco*). —

OFICER (*swawolnie*). — Dokądże tak późno?... Poznajomim się... dobrze? Panienska do domu?

PROSTYTUTKA. — Mogę iść do domu.

OFICER. — Panna mieszka daleko?

PROSTYTUTKA (*obojętnie*). — Chodź pan ze mną.

OFICER. — Charaszo. Pozwom awtomobil.

PROSTYTUTKA. — Nie trzeba. To tylko parę kroków.

OFICER. — Idi wpieriod.

PROSTYTUTKA. — Dobrze.

Wyprzedza oficera i wchodzi w bramę pobliskiego domu.

Niebawem stanęli u jakichś drzwi, gdzieś, na którymś piętrze schodów, w oficynie.

Weszli. Zapaliła lampę.

OFICER (*odpasując szablę*). — Ty polka, — a?

PROSTYTUTKA. — Polka.

OFICER (*zdejmując szynel*). — Russkich lubisz?

PROSTYTUTKA (*wzruszyła ramionami*). — Dlaczegoż nie mam lubić? Lubię.

OFICER (*siada na łóżku i przyciąga ją do siebie*). — Oficerów lubisz?

PROSTYTUTKA. — Lubię.

OFICER (*mówi z cichym uśmieszkiem*). —
Wasze siostry dawniej na nas z nożem się rzucały...
wo wriemiena miatieża... znajesz?

PROSTYTUTKA. — Nie.

OFICER. — Wo wriemienia powstania.

PROSTYTUTKA. — A! — wiem.

OFICER. — Z nożem! Ha, ha, ha! Kralia
takaja — i z nożem... a?

PROSTYTUTKA (*obojętnie*). — Głupie były.

OFICER. — Naturalnie. — No — mała —

.
.
.

OFICER (*położył pieniądze na stole, zabiera
się do odejścia. Ujął ręką klamkę. Mówi*): —
...No, ale drogo u was teraz w Warszawie. (*Zły*).
Nie wiedziałem ja, że serce warszawianki takie
drogie...!

PROSTYTUTKA. — Nie drogie.

OFICER (*zły*). — Pomyślisz...! Królowna!

PROSTYTUTKA. — Czego?

OFICER (*zły*). — Dowidzenia!

*Wyszedł. Zamknęła za nim drzwi. Chowa pie-
niądze za pończochę. Stanęła przed lustrem.
Poprawia włosy. Wyrzała na podwórze. Wzdry-
gnęła się...*

PROSTYTUTKA (*półgłosem, do siebie*) —
Dobry gość. (*Ciszej*). — Cholera...

Słucha, jak biją w okno krople deszczu. Bierze parasolkę, poczym podchodzi do stołu i na wychodnem przykręca knot lampy. Pociemku zmierzra do wyjścia...

Zmiana dekoracji.

SCENA 4.

W redakcji. W gabinecie sekretarza.

SEKRETARZ *(do reportera)*. — Czy pan zwarjował!?

REPORTER *(nieśmiało)*. — Panie sekretarzu...

SEKRETARZ *(rzucając z pasją na stół kilka zapisanych pasków papieru)*. — Niesłychane! I pomyśleć, że pan robisz w dzienniku od piętnastu lat! To jest łajdactwo! Przynosić w ostatniej chwili takie wiadomości!

REPORTER *(nieśmiało)*. — Ależ... ja sędzę, że to są rzeczy, które w zwykłej rubryce wypadków —

SEKRETARZ *(przedszeźniając)*. — W zwykłej rubryce... proszę! W zwykłej rubryce! *(krzyczy)* pan byś chciał, żeby nam budę zamknęli? Pan nie wie nic o cenzurze wojennej? Nie? Pan się dzisiaj urodził? Tak? Idjota!

REPORTER *(zarumienił się)*. — Panie!!

SEKRETARZ *(bijąc pięścią w stół)*. — Idjota!

REPORTER (*podnosząc głos*). — Panie. Wypraszam sobie — —

SEKRETARZ (*j. w.*) — Idjota! Idjota!

Wchodzi redaktor.

REDAKTOR (*zmarszczył brwi, patrzy przez wierzch binokli. Cedzi*). — Co tu się stało?

SEKRETARZ (*wściekły, chwytając paski papieru i wytrząsa nimi w powietrzu*). — Co się stało? Patrz redaktor! O: wiadomość pierwsza: pijany żołnierz zabił robotnika na Towarowej; wiadomość druga: trzech kozaków zgwałciło jakąś tam szwaczkę koło rogatek mokotowskich; wiadomość trzecia: oficerowie potłukli lustra w Aquarium. To są wiadomości dla naszego pisma... Co? dobre? Ten pan przynosi nam takie kwiatki w chwili, kiedy numer idzie na maszynę!

RERORTER (*ponsowy*). — Ja — —

REDAKTOR (*do sekretarza*). — Nie krzycz pan! (*do reportera*). — A pan rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z warunków, w jakich pracujemy... (*surowo*) muszę panu powiedzieć, że, o ile pan nam będzie znosił wyssane skądś plotki skandaliczne, niecenzuralne notatki — to — aczkolwiek z żalem — ale będę musiał pozbawić go zajęcia —

REPORTER. — Panie redaktorze — kiedy to są fakty, fakty sprawdzone —

REDAKTOR (*zimno i surowo*). — Pan żartuje.

SEKRETARZ (*z wybuchem, do reportera*). — Czy pan wiesz, co to znaczy kurs polityczny? Nie?

Aha, wiesz pan... Dobrze, że chociaż to jest panu wiadomym! Więc chyba pan orientujesz się, że wobec aktualnego kursu politycznego byłoby nie-taktem usiłować przemycanie takich wiadomości. Przemycać! Powiadam — bo zresztą poszłoby tylko przez przeoczenie cenzury. Nieinaczej.

REPORTER. — Ale —

SEKRETARZ. — Chyba pan rozumiesz, jak doniosłe są nowe konjunktury polityczne, w których się znalazł nasz biedny kraj.

REDAKTOR. — Właśnie!

REPORTER. — Ale —

SEKRETARZ. — Chyba pan jesteś dobrym polakiem? Tak — czy nie?

REPORTER. — Ale — ...

SEKRETARZ (*przerwywając, gwałtownie*). — No — jesteś pan polakiem, czy nie?

REPORTER (*oszołomiony*). — Jestem.

SEKRETARZ (*do redaktora, tryumfując*). — No, nareszcie!

Usiadł. Zapala papierosa.

REDAKTOR (*do sekretarza*). — Wsadź pan cokolwiek na to miejsce. Masz pan jakiś koncert, raut, jakąś odezwę dobroczynną?

SEKRETARZ. — Nie.

REDAKTOR. — Nic?

SEKRETARZ. — Nic.

REDAKTOR (*zasepiony*). — Wiesz pan co? Kropnijmy od ręki jakiś krótki artykuł o Warsza-

wie... — coś, wie pan, takiego z przeszłości... ze Starego Miasta, albo o jakiejś studni, czy kamienicy... o zwyczajach mieszczan... o! o sercu Warszawy, na przykład.

SEKRETARZ (*ponuro*). — Łatwo redaktorowi gadać.

REPORTER (*nieśmiało*). — To ja na jutro postaram się o inne wiadomości.

SEKRETARZ (*mrukliwie*). — Dobrze, dobrze. Nie zawracaj mi pan teraz głowy.

Reporter kłania się i wychodzi.

REDAKTOR (*zajęty swoją myślą*). — No, panie—raz, dwa, trzy. Kropnij pan. „Serce Warszawy“. Śliczny temacik... Ile brakuje?

SEKRETARZ (*rzuca okiem na kolumnę*).— Około stu pięćdziesięciu wierszy.

REDAKTOR. -- Tylko? A więc tym lepiej. Pisz pan o sercu, akurat na sto pięćdziesiąt starczy. *Sekretarz kiwa głową. Redaktor wysuwa się z gabinetu i kroczy do siebie.*

Po chwili sekretarz rzuca papierosa, opiera głowę na ręce—i duma. Przeklina swoje jałowe myśli, przeklina cenzurę, przeklina Warszawę.

Wreszcie macza pióro w kałamarzu. Zaczyna gryzmolić pośpiesznie „Serce Warszawy...” Pisz i pisze. Z za okna dolatuje ryk wojskowych samochodów... po pewnym czasie rozlega się trąbka Pogotowia. Skończył. Starczyło akurat na sto pięćdziesiąt wierszy.

Zmiana dekoracji.

SCENA 5.

W Alejach.

SANITARJUSZ (*z towarzystwa do sanitariuszki z towarzystwa*). — Czy pani zupełnie przestała bywać w Kole sportowym?

SANITARJUSZKA (*lekceważąco*). — W Kole sportowym? Wie pan, że to dziwne zapytanie... Podczas wojny, teraz, kiedy naokoło tyle nędzy, cierpienia...

SANITARJUSZ (*szybko*). — No, tak. Ale przecież można pogodzić jedno z drugim. Ja, naprzykład, grywam w tenisa codziennie, w dawnej partji... wie pani... baronowa, obaj młodzi Gorylscy... grywam poprostu dla higieny ducha... tyle zgryzot... Pozatym mam jeszcze czas i na inne zajęcia, a po południu kładę na ramię opaskę—jak pani widzi.

SANITARJUSZKA. — Kwestja usposobienia.

SANITARJUSZ. — No, tak.

W milczeniu idą przez chwilę obok siebie. Spotykają kilka osób znajomych. Panna z wdziękiem odpowiada na ukłony.

SANITARJUSZ. — Wie pani, że z Mary Gąsiewską rozmawiał Wielki książę?

SANITARJUSZKA (*żywo*). — Nie może być?

SANITARJUSZ. — Tak.

SANITARJUSZKA (*do żywego poruszona*).—
Nie może być! Kiedy?

SANITARJUSZ. — Ależ tak. W poniedziałek,
podczas wizyty w szpitalu. Przyjechał całkiem in-
cognito.

SANITARJUSZKA (*z ironją*). — I cóż? Mary
Gąsiewska była w siódmym niebie?...

SANITARJUSZ (*przekornie*). — A właśnie,
że nie. Nawet podziwiałem jej spokój. To bardzo
wytrobiona młoda osoba.

SANITARJUSZKA (*niechętnie*). — Może być...
(*po chwili*). — Ja tego dnia umyślnie wcześniej po-
jechałam do domu, bo mnie te szopki nie bawią...

SANITARJUSZ. — Jakto? Wiedziała pani, iż
książę miał przyjechać?

SANITARJUSZKA. — Naturalnie.

SANITARJUSZ. — Od kogóż?

SANITARJUSZKA (*trochę niepewnie*).—Tak...
poufnie (*zmieniając wątek*). — Ale Mary musiała
tryumfować. Ma tyle snobizmu... zresztą dosyć o tym.
Nudne.

SANITARJUSZ. — Wie pani, właściwie, to
z początku się trochę zasypała...

SANITARJUSZKA (*skwapliwie*). — No, no?
Ciekawam!... Niech pan powie, proszę!

SANITARJUSZ. — Wielki książę był na na-
szym oddziale... ustawili nas rzędem... doktor na-
czelny—no, rozumie pani... zawsze etykieta.

SANITARJUSZKA. — Tak. No—i?

SANITARJUSZ. — Wielki ksiązę wszedł do sali. Naczelný doktor przedstawił najprzód lekarzy, potym nas — sanitarjuszy i sanitarjuszki. Adjutant był, zdaje się, poinformowany... Słyszałem, jak szepnął do wielkiego księcia parę słów... la meilleure société varsovienne... Potym wielki ksiązę podszedł do pań i zwrócił się z paroma uprzejmymi pytaniami do panny Mary... po francusku. Stała najbliżej... a może mu wpadła w oko...

SANITARJUSZA. — Phy... nic nadzwyczajnego. Ale jakąż gaffę zrobiła? Mów-że pan?

SANITARJUSZ (*patrzy bokiem na towarzyszkę, śmieje się*). — Oh, les femmes!

SANITARJUSZKA. — No—proszę!

SANITARJUSZ. — Niech pani sobie wyobrazi, panna Mary z zakłopotania — robi dyg — i zamiast: „Wasza Wysokość“...—pali, cała w ponsach: „Sire!“

SANITARJUSZKA (*wybuchnęła radosnym śmiechem*). — Nadzwyczajne! Nadzwyczajne!... Voilà une gaffe! La pauvre petite!...

SANITARJUSZ. — Ale się zaraz poprawiła: Votre Altesse—owszem, nawet z tupetem odpowiadała... Ksiązę się uśmiechał, ścisnął jej rękę bardzo szarmancko...

Umikł. Idą przez chwilę w milczeniu. Przed tarasem białej willi, którą mijają, szumią cicho stare drzewa...

SANITARJUSZKA (*po długiej pauzie*).—Jaka jednak ta Warszawa jest pusta... tam wojna, nędza,

krw... cała Polska cierpi... a tutaj pół miasta będzie mówiło o Mary Gąsiewskiej.

SANITARJUSZ. — Tak... może... ale serce miasta jest takie, jak zawsze... szlachetne, czujące, zapalne...

SANITARJUSZKA.—Serce Warszawy? A, tak. Może być.

Stanęli przed gmachem Kadeckich Korpusów, znajdującym się naprzeciwko Łazienek. Gmach ten odniedawna zamieniono na szpital wojskowy.

Panna uścisnęła rękę towarzysza. Ten żegna się i zdejmuje kapelusz.

Sanitarjuszka szybko, z niewysłowionym wdziękiem, wstępuje po schodach marmurowych. Usunął się przed nią świetny sztabowiec i oddał ukłon wojskowy. Cicho, dyskretnie zadźwiękły ostrogi. Sanitarjuszka dumnie skinęła główką. W górnym westibulu zarzuciła białe peplum szpitalne. Przechodząc obok lustra — musnęła włosy. Weszła na salę do rannych żołnierzy.



STRASZNY SEN.

Miałem dzisiaj straszny sen.

Śniło mi się, że odzyskałem... niepodległość!

Doprawdy—jadam bardzo mało na noc! I nie jestem alkoholikiem, ani wogóle... zresztą nie czytałem do poduszki Edgara Poë... poprostu nic, nic nie mam na sumieniu... — Żebyż choć śmierć, albo upiór, albo choroba... ale nie, gorzej, stokroć gorzej!...

Nie — coś podobnego!

* * *

Musiał się zacząć ów straszliwy sen zaraz po północy, bo przypominam sobie, jak się położyłem do łóżka, jak nakręciłem zegarek, a potem zaraz zgasilem światło. Właśnie była północ. Zasypiałem. Pierwsze uderzenia zegara ściennego odbiły się jeszcze na mojej tkance wrażeniowej dosyć wyraźnie. Ale końca godziny dwunastej nie pamiętam...

Jak długo ukojona jaźń moja przechadzała się wśród niebytu?

Minutę... może kwadrans... może godzinę?

W pewnej chwili rzucił mną dreszcz.

Przez sen miałem wrażenie, jak gdyby posłanie rozszerzało się niepomrotnie; uciekły gdzieś poręczce łóżka, cofnęło się oparcie głowy, zaś drugi koniec popłynął tak daleko, iż niebawem leżałem już nie w ciasnym posłaniu, ale w jakiejś szerokiej, nieskończonej równinie.

Jednocześnie usunęła mi się z pod głowy poduszka, a mocny powiew czegoś, łudząco przypominającego orkan, zerwał ze mnie kołdrę. Poczułem, że nie mam na sobie nawet koszuli... Wzdrygnąłem się znów krótkim dreszczem, chociaż mi nie było właściwie zimno... starałem się okryć byleczym... pod ręką nie było tkanin żadnych, ani płaszcza, ani futra...

— Jestem nagi... — pomyślałem przez sen.

— Jako Hiob...

Skuliłem się na posłaniu.

*

*

*

— Jesteś wolny!

Ten głos okropny...! Czy się przesłyszałem?
może to nie do mnie?

— Jesteś wolny!

— Ja?

— Ty.

Zafalowała dookoła mnie niezmierna przestrzeń
w której leżałem.

Tak, te słowa były powiedziane do mnie...
I cóż?... Kiedy jestem nagi...

— Wstań — i idź.

— Ja?

— Ty!

Wstałem. We śnie ogarnął mnie wstyd mojej
nagości... nieomal uroniłem łzę nad własną niedo-
łą... Mój Boże... muszę tak szukać teraz mojego
krawca...

— Nie masz krawca!

— Ja nie mam krawca?

— Tak.

— Kiedy, bo... ja mam krawca i nawet kre-
dyt mam u niego... Właśnie chcę pójść i —

— Twój krawiec nie egzystuje. I kredyt twój
już nie egzystuje. Zaczynaj od początku!

Oh, ten głos, ten straszny głos!

Więc od początku — ? Mój Boże!

Rozejrzałem się po równinie... Trudno —
trzeba wrócić do zamierzchłych czasów. Ubiorę się
w skórę...

— Skąd weźmiesz skórę?

— Jakto? Czy niema skór?

— Musisz ją zdobyć. Zwierząt naokoło conie-
miara. Idź — i weź.

— Ja sam?

— Ty!

Oh, Boże, ten głos...! Zacząłem iść. Ale spotkałem niebawem lwa, niedźwiedzia i jagnię. Przypadłem do ziemi. Przeszedł lew. Nie zauważył mnie. Zbliżył się niedźwiedź. Udałem nieżywego. Obwąchał mnie i oddalił się pośpiesznie. Wówczas wstałem ostrożnie. Zobaczywszy, że bestyj nie widać, porwałem kamień i wymierzyłem celny cios w głowę jagnięcia, które się pasło wpobliżu.

Niebawem obdarłem starannie skórę zwierzęcia i owinąłem się w miękką wełnę. Doprawdy! Wcale dobrze... ciepło... mile.

I znowu odezwał się ów fatalny głos.

— Czy przykryłeś nagość swoją!

— A jakże!

Pokazywałem zewłok wełniany na wszystkie strony, bo nie wiedziałem, skąd właściwie głos pochodzi.

— Podoba ci się skóra lwia?

— Lwia...?

— Przecież lwa zabiłeś — czy nie tak?

— Ależ nie!

Chciało mi się śmiać... co za naiwność...! Lwa? Żadny pomysł!

— Grzeje cię skóra niedźwiedzia!

— Niedźwiedzia?...

— Wszakże niedźwiedzia zabiłeś — czy nie tak?

Ogarnęła mnie irytacja. To nie naiwność. To już chyba jakaś szykana!

— Jagnię zabiłem i ściągnąłem zeń skórę. Ciepło mi. Jestem z siebie bardzo zadowolony!

Pokazywałem naokoło moją szatę.

Głos zabrzmiał z góry, tuż nad moją głową:

— Biedny głupiec!...

— Kto? — ja?

— Ty!

* * *

Maszerowałem już dobrą godzinę. Od czasu do czasu rozglądałem się po niebie, czy nie ryknie aby skąd ów fatalny, nieznosny głos. Było cicho.

Nabrałem więc otuchy i posuwałem się coraz dalej, zapominając powoli o przeżytych przykrych wzruszeniach.

Chciało mi się jeść.

Rozmyślałem nad tym, czy nie wypadnie czasem zdobywać sobie jadła w podobny sposób, jak zdobyłem ubranie. Ale nie. Bo oto naraz zobaczyłem na zakręcie drogi domostwo, które zdaleka już patrzyło na karcznię. Jakoż, było tak istotnie. Odczytałem na szczycie wyraźny napis: jadłodajnia — i przyspieszyłem kroku. Przed drzwiami stał duży tłum ludzki. Widać czekali wszyscy na swoją kolej. Stali uszykowani szeregiem i w miarę, jak ginęli

we drzwiach najpierwsi, posuwali się za nimi powoli następni i cały sznur skracał się nieznacznie. Ale trwało to djabelnie długo. Rozejrzałem się naokoło. Ot — takie tam sobie towarzystwo. Dosyć mieszane.

Chciało mi się jeść. Podeszedłem do najbliższego indywiduum, wyglądającego dość niepozornie, uderzyłem go zlekka, protekcjonalnie po ramieniu i powiedziałem zwysoka:

— Usuń się-no, przyjacielu.

Indywiduum wzruszyło ramionami.

— Zajmij miejsce w szeregu, przyjacielu — odparł mi niedbale. Ogarnął mnie gniew. Ten człowiek napewno należy do klasy niższej! Powtórzyłem z naciskiem.

— Proszę mi ustąpić.

— Nie. Proszę zająć swoje miejsce.

Tam do diabła! Nauczę cię ja rozumu! Huknąłem na niego tak, po swojemu.

— Ja jestem hrabia! Rozumiesz!!

— Ja też jestem hrabia! Zrozumiano?

Oślupiałem, usłyszawszy taką odpowiedź.

Postąłem, zawróciłem się — i odszedłem. Przez głowę przeszła mi myśl:

— A może to był rzeczywiście hrabia? — Spojrzałem na swoje ubranie. Ba! Rozumiem. Wyglądam nietęgo.

Te jagnię...

Bokiem, lawirując, dotarłem do samych drzwi.

— Puśćcie mnie towarzyszu, dobrze? — rzekłem pokornie. — Jeść mi się chce.

— I mnie też, towarzyszu — odparł uprzejmie zagadnięty. Poczym wszedł flegmatycznie w drzwi domu, bo właśnie nadeszła jego kolej. Zgnębiony, zły, powlokłem się na sam koniec szeregu i zastygłem w oczekiwaniu.

* * *

Niewiem nawet, jakim sposobem znalazłem się w mieście. Ogłuszył mnie turkot kół, dzwonienie tramwajów i ryk sygnałów automobilowych.

Na jakiejś ulicy o mały włos byłbym wpadł pod koła przelatującego samochodu... Zagapiłem się... Wachlarz metalowy zaczął mnie za ramię i powalił na asfalt. Kiedy się wreszcie podniosłem postępując — zebrała się koło mnie gromadka przechodniów.

— Nic się nie stało?

Wściekłość mną zatrzęsała.

— Policja! Policja! Gdzież jest policja?

Wysunął się jeden z przechodniów i podszedł do mnie z uprzejmym ukłonem.

— Do usług.

— Pan jesteś policjantem?

— Tak jest.

— A dlaczegoż pan nie nosi munduru?
— Pocóż mam nosić mundur?
— No, przecież pan pilnuje porządku, do kroćset?

— No tak.
— Więc dlaczego pan nie nosi munduru?
— Pocóż, do kroćset, mam nosić mundur?

Zdawało mi się, że głowę tracę. Rozejrzałem się naokoło, chcąc wezwać na pomoc opinię publiczności, ale niedawna grupa osób rozeszła się właśnie.

— Jak widzę, jesteś pan zdrow i cały, — żegnam.

Człowiek, mianujący się policjantem, zrobił ruch, jakby chciał odchodzić.

Zatrzymałem go za rękaw, trzęsąc się od wewnętrznej irytacji.

Zapytałem:

— A protokuł?
— Jaki protokuł?

— Przecież o mało, iż nie zostałem przejechany.

— Ależ pan nie został przejechany.
— Ala pan jesteś podobno policjantem.
— No, jestem. Więc co? Nic nie rozumiem.

Zatrząsłem się jak pijany. Schwyciłem się za głowę.

A straszny człowiek rzucił jeszcze grzecznym głosem:

— Jeżeli panu dolega ból głowy — apteka jest na drugim rogu.

* * *

Kiedy znalazłem się w biurze magistrackim, zdziwiło mnie to, że wszyscy byli zajęci i nikt nie spytał poco przyszedłem.

Stałem tak przez chwilę obok biurka, przy którym urzędował jakiś młody człowiek dosyć chudy.

Chrząknąłem.

Młody człowiek podniósł głowę.

— Czym mogę służyć?

— Chcę się zameldować.

— Jakto?

— Zameldować na pobyt.

— Poco?

— No, że chcę mieszkać w tym mieście.

— To niech pan mieszka.

— Ale ja właśnie dziś przyjechałem. Jestem.

— Widzę.

Splunąłem.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Spluwaczka stoi w rogu. O, tam. Proszę nie pluć na podłogę.

Z całej siły uderzyłem pięścią w stół:

Spojrzał znowu:

— Siłomierz mieści się w bramie naszego domu. Litera B.

Poczym schylił głowę nad rachunkami i po-
grążył się w pracy.

* * *

Dałem portjerowi pieniądze, żeby mi zawołał dorożkę. Pieniądz włożył obojętnie do jakiejś skar-
bonki dobroczynnej, a sam dosyć uprzejmie wy-
chylił się na ulicę i zawołał powóz. Wsiadając, przy-
pomniałem sobie, że nie mam zapalek.

Podał mi swoje.

Chciałem zatrzymać, ale zażądał zwrotu.

Rzuciłem mu miedziaka, ale go nie pod-
niósł, tylko odebrał swoje zapalki i znikł za drzwia-
mi. Widziałem potym z dorożki, iż pieniądz pod-
niósł jakiś wyrostek i włożył go do owej skarbonki.

* * *

Czułem na sobie ciężar swobody.

Jak to cięży! Niema cyrkulów, niema na rogach
rewiowych! Nie widać wojska. Podobno zresztą woj-
sko jest, tylko ćwiczy zawsze w polu, a po ćwi-
czeniach wraca do domu. Niby jakaś milicja. Cho-
dzą po cywilnemu. Komedja! Szukałem więzienia.

Pokazali mi drogę do dzielnic, gdzie pobudowano szpitale.

Ogromne zdenerwowanie skłoniło mnie do szaleństwa. Postanowiłem spiskować. W którejś z bocznych ulic zatrzymałem się obok gromadki robotników.

— Precz z rządem!

Palily mi się oczy, Podniosłem rękę.

— Precz z tyranami!

Podeszli do mnie zainteresowani zupełnie wi-
docznie.

— Pan jest niezadowolony z rządu?

— Tak jest.

— A dlaczego?

— Nienawidzę rząd!

Pokręcili głowami..

Najstarszy chrząknął.

— Hm...

Obejrzałem się na niego.

— Bo to, widzi pan... — stary człowiek za-
kłopotał się trochę — błądzić, to rzecz ludzka.
Może być, że zbłądziłem. A może ktoś z moich ko-
legów.

— Kiedy ja nie o panu, tylko o rządzie.

— No, tak. Przecież to wszystko jedno.

Zrobiło mi się gorąco.

— Ależ... któż pan jesteś, do diabła?

— No, minister. Albo co?
Uciekłem.

* * *

— Pan myślisz, że niema represji w naszym mieście? Niestety!.. są i u nas represje. Taka już widać natura ludzka.

Naprzykład wczoraj...

Mówiąc te słowa, siwy prezes sądu zmarszczył czoło i zasępił się.

— Cóż było wczoraj? — zagadnąłem: — mord? Świętokradztwo?

— O, nie. Takie zbrodnie należą u nas niemal do przeszłości...

Pytasz pan, co było wczoraj?

Musieliśmy sądzić młodą dziewczynę, oskarżoną o nierząd — a także jej współników. Dziewczynę skazano na dwa lata przymusowej szkoły... Westchnął i przetarł czoło.

Zapytałem:

— Wspólnikami kogo nazywacie? Sutenerów?... — Tak?

Sędzia oburzył się.

— Oh, nie! To się nie zdarza. Przeciwnie. Mówię o tych, którzy dzielili jej łóżę, o gościach...

— !?

— Starszy został skazany na trzy lata, a młodszy na rok utraty czci obywatelskiej.

Wykrzyknąłem:

— Straszne! Takie drakońskie prawa! To niewola!

— Sądzi pan? — i stary sędzia zajrzał mi prosto w oczy.

* * *

We śnie śnił mi się sen.

Oto idę ulicami miasta — i niema nademną władzy, którąbym czuł dotykalnie... jest jakaś władza rozległa, ale własna — niepisana, nieopierająca się na autorytecie bagnetów, obywatelska, krajowa, bo ja wiem?

Śni mi się, że fałszywie podałem swój dochód roczny i że przy obliczaniu podatku dochodowego cała prawda wykryje się... nikt mi nie uściśnie dłoni i nie powie: sprytnie zrobione: Winszuję! Przeciwnie: popatrzą na mnie jakoś tak dziwnie...

Śni mi się, że jestem człowiekiem wolnym i że inni wolni ludzie patrzą na mnie z przyjazną powagą, oczekując — czego — ? — pracy? Czy ja wiem? Solidarności? Inicjatywy?

Śni mi się, że przyszli do mnie ludzie po rozkazy. Rozglądam się naokoło i czekam pokornie, ktoby mi raczył wreszcie narzucić swoją wolę... Tak mi tęskno...

Na wielkim, wspaniałym placu, przed pomnikiem, który tutaj nazywają pomnikiem Wolności — obchodzono rocznicę jakiegoś święta.

Pytałem w tłumie na lewo i na prawo, o jaką mianowicie rocznicę chodzi, ale ludzie, którzy mnie otaczali, musieli być głuchoniemi, bo milczeli, zapatrzeni w złoty szczyt obelisku.

Znacznie później wybuchnął na placu jeden okrzyk — krótki, ale tak potężny, że wydaje mi się niemożliwym, ażeby go dożyły z siebie piersi owych głuchoniemych. Zresztą, może oni nie chcieli odpowiedzieć na moje zapytania! A może nie mogli? W powietrzu kołysały się srebrne orły...

Patrzałem z niecierpliwością, rychłoż nadjadą władze — ale oprócz morza ludzi nie widziałem nikogo.

— Wolność!

Zimny lęk ścisnął mi gardło, jak łapa potwora.

Poczułem naprawdę, że stoję wśród ludzi niepodległych i że lada chwila stanę się sam niepodległym, albo —

.

Z krzykiem, mokry od potów, z włosami zjeżonymi lękiem — obudziłem się.

Wolno uniosłem zmęczoną głowę z posłania. Wsparłem się na łokciu.

A potem jednym susem znalazłem się na podłodze. Zerwałem zasłonę. Wyjrzałem przez okno. Na ulicy, pod moim domem chodził tam i z powrotem policjant. Ten sam, który tu chodził wczoraj, onegdaj, przed rokiem.

Na ślicznych, spasionych koniach przemknęli się konni strażnicy, eskortujący karetkę więzienną...

Przeminął sen okropny!

Rozpłakałem się ze szczęścia.





KOWNACCY Z KROPIWNICY.



Rodzina Kownackich z Kropiwnicy znana była powszechnie w mieście.

Państwo Kownaccy należeli do śmietanki arystokracji, która w małej prowincjonalnej stolicy zamykała się w czymś nakształt klanu, albo raczej w zrzeszeniu, organizowanym na wzór loży masońskiej: nielada obrzędów, nielada rytuałów trzeba było, aby wcielić do tej arystokratycznej loży nowego aspiranta.

Niepisany regulamin przewidywał trzydzieści trzy wizyty, nazwisko nienaganne, koligacje wiejskie, solidną rentę, wyznanie rzymsko-katolickie i... znajomość języka francuskiego.

Tym warunkom rodzina Kownackich odpowiadała.

Upłynęło już wprawdzie okrągłe piętnaście lat od dnia, gdy państwo Kownaccy sprzedali swą wieś, rozczarowani do konjunktur rodzimego rolnictwa, zaś — jak złośliwi twierdzili — wyciśnięci z majątku przez żydowskich wierzycieli, którym głowa rodziny, pan Karol Alojzy powierzył był

zbyt dalekoidącą kolekcję swych autografów. Niemniej, z dosyć pokaźną uratowaną rentą tworzyli dom bardzo comme-il-faut i dlatego też pozostawiono im predykat: z Kropiwnicy.

Prócz pana Karola Alojzego i żony jego, pani Kornelji z Kaczor-Kaczorkowskich, obfitej blondyny o pontyfikalnym biuście, skłonnej do uniesień, choć pełnej taktu, pozatym zresztą niepozbawionej głębokiej uczuciowości, — dwoje ich dzieci zamykało koncert familijny.

Młody Kownacki, noszący imiona Karola — Stefana (dane mu na Chrzcie świętym na pamiątkę tego, że urodził się w Zakopanym, w dniu pobytu tam Arcyksięcia austriackiego) i panna Janina, w spieszczaniu — Żaneta — Kownacka — dopełniali się wzajemnie. Nie można powiedzieć, żeby rodzeństwo żyło w monotonnej zgodzie; przeciwnie — kłócili się dosyć często. Ale zarówno siostra, jak i brat, mieli światopogląd niezawisły, europejski i to zbliżało ich do siebie.

Państwo Kownaccy z Kropiwnicy odgrywali w prowincjonalnym mieście znaczną, wybitną rolę. Jaką mianowicie rolę — ? Trudno to bliżej określić... No, dosyć, że odgrywali. Czy to mało?

Panna Żaneta przewodniczyła młodym swym rówieśnikom w robotach kulturalno-oświatowych. Organizowała rauty, wenty, fixy i fajfy.

Karol Stefan popierał tężyznę i ducha sportowego wśród elity męskiej młodzieży. Grał wybor-

nie w tennisa, w bridge'a i w bilard. Pozatym raz w swoim życiu, w przeciągu blisko dwóch tygodni intensywnie przechodził kurs lekkiej atletyki, mia-
nowicie w czasie, gdy do municypalnego kabaretu zawitał championat kobiet-atletek.

Miasto znało rodzinę Kownackich, dlatego też nie dziwił się nikt, iż przy najmniejszej okazji nazwisko ich figurowało na czele list, bez różnicy, czy listy te zawierały podpisy osób, urządzających bankiet jubileuszowy, lub inny, czy też przypominały członkom jakiegoś tam klubu o zaległych składkach.

Wiadomość o wybuchu wojny zastała rodzinę Kownackich z Kropiwnicy w komplecie. Nikt nie bawił u wód. Żaden z członków rodziny nie został odcięty, jak to się z tyloma osobami zdarzyło. Pan Karol Alojzy dumał w tym czasie nad gazetą, w której wyczytał nekrolog druha swego z lat dziecinnych, prezesa dyrekcji szczegółowej ogólnikowego wydziału zjednoczonych komitetów statystycznych. Pani Kornelja czytała. Młody Karol Stefan przeglądał kolekcję wysoce sportowych pocztówek, wyjętych z sekretnej szuflady jego kawalerskiego biurka. Co zaś do panny Żanety, to ta ostatnia pisała list do przyjaciółki. Zaczynała nowy wiersz od akapitu i zdążyła zaledwie napisać:

„...Kochana Mary, powiedz mu, że jest snobem i że Maeterlinck się przeżył“... — — —

...Gdy pokojówka Antosia wpadła jak bomba,

z wiadomością o ogłoszonej mobilizacji. Grobowe milczenie, konsternacja, potem chaos zapanowały w domu państwa Kownackich. Nie potrzebuję pisać co się potem działo.

Zaczęto mówić o depozytach, poczym pan Kownacki złapał kapelusz i ruszył kłusem do miejscowego banku. Pani Kornelja sięgnęła po drugi tom Mniszkówny. A młodzież z miejsca zaczęła omawiać i precyzować orientację.

— Nie idź na to zebranie — prosiła pani Kornelja, przyczym z niepokojem patrzyła w oczy męża: — jeszcze cię wybiorą do tego Komitetu Obywatelskiego i narazisz się.

— Jakto?

— Przy pierwszej okazji wezmą cię, jako zakładnika.

— Śmiej się z tego!

— Tak, a potem za byle co rozstrzelają... Boże mój, Boże! Jestem kobietą i żoną, więc mam intuicję. Wierz mi!

Milczący dotychczas młody Kownacki odezwał się po chwili:

— A ja postanowiłem wstąpić do milicji.

— Co?!?

— Do milicji.

— Warjat! Słowo daję, że warjat. Chcesz, żeby cię zastrzelili z za rogu?

— Kto taki?

— Szumowiny...

— A co mnie do — —

Ale w tym miejscu panna Żaneta nie mogła wytrzymać: zagadnęła brata nie bez irońji:

— No, zdaje się, że ty te sfery znasz... i to dokładnie!

Pani Kownacka zwróciła na córkę zgorszone oczy.

— Jeannette, mon enfant! Vous manquez de tact...

Młody Karol Stefan zezem spojrzał na siostrę, poczym wyszedł ostentacyjnie z pokoju.

Działalność polityczno-społeczna pochłania. W toku paru miesięcy rodzina Kownackich z Krośnicy uległa mnogim przeobrażeniom, przyczym konsekwentnie i mężnie wstępowała na coraz wyższe szczeble odpowiedzialności wobec ogółu.

W pewnym okresie państwo Kownaccy z dziećmi znaleźli się poza granicami, dostępnymi dla przeciętnych śmiertelników.

Pan Kownacki, senior, stał na czele Komitetu Głównego, jednocząc w swoich doświadczonych dłoniach trzy naraz zarządy sekcyjne, a mianowicie: zarząd sekcji analfabetów, sekcji walki z nierządem, oraz sekcji nadzoru nad produktami spożywczymi.

Pan Kownacki, junior, ukończył był właśnie referat o abolicjonizmie i przygotowywał pracę na temat: Koedukacja w świetle metod empirycznych.

Pani Kornelja była prezeską „Łyżki tapioki“, prócz tego *patrjonowała* w ochronie dla emerytek, a w czwartki i soboty miewała odczyty o węglowodanach i tłuszczach.

Panna Żaneta uczęszczała na kursa położniczo-bandażnicze, a w międzyczasie, skubiąc szarpie w kółku rówieśnic, improwizowała na tematy, wyjęte z książek Prusa, Payota i Mulforda.

Jeden ze szczerych przyjaciół rodziny Kownackich ogłosił urbi et orbi, na poobiedniej kawie w cukierni, że: „gdyby ta nasza biedna Polska dysponowała orderami Legji honorowej — Kownackim przyznanoby napewno krzyż komandorski“.

I tak płynął czas.

Gdy orjentacja północno-wschodnia kurczyła się postępowo, a umysłem miejscowej elity objawiła się nowa prawda o Bzurze i Rawce — państwo Kownaccy stali, jako bazaltowe karjatydy społeczne. Gdy odwołano Wielkiego księcia na Kaukaz, powierzając mu pilne roboty około remontu szosy wojenno-gruzińskiej, pan Kownacki wyrzekł sentencjonalnie:

— Wszystko się mści...

Z chwilą otwarcia komunikacji z Warszawą państwo Kownaccy zamyślili się poważnie. Poczym

dnia pewnego ojciec, matka, syn i córka poskładali gremjalnie swe społeczne mandaty, powierzając sprawy analfabetów, emerytów, rządu i nierządu w ręce godniejsze.

— Zrobiłem swoje — mówił w imieniu rodziny pan Karol Alojzy, zwracając się do zebranych na bankiecie pożegnalnym ojców miasta — dziś, gdy nawet społeczną widzę na dobrej drodze — usuwam się w cień!

Ten i ów rozrzewnił się. Sędzia szepnął do rejenta:

— Stary kabotyn...

Poczym wzniośl toast:

— Kochajmy się!

Nazajutrz Kownaccy z Kropiwnicy podąжали w stronę Warszawy, aby sprostać nowym zadaniom dnia, a mianowicie wydębić zaległe dwuletnie procenty od sumy hipotecznej, ulokowanej w murach pewnej kamieniczki na ulicy Marszałkowskiej.

Przy biurczku w swoim skromnym, ale gustownym buduaru warszawskim siedziała panna Żaneta i pisała list do swej przyjaciółki na prowincji.

— „...Kochana Mary, powiedz mu, że jest prowincjonalnym snobem i że jego śmieszny Maeterlinck przeżył się.”

Panna Żaneta odłożyła pióro i zamyśliła się. Spojrzała na swoje śliczne, odpolerowane paznokietki, rzuciła okiem na fotografie dwóch młodych profesorów Wszechnicy warszawskiej, ustawione na jej biurku — poprawiła się na krzeselku, zaszeleściła jedwabną sukienką — i pisała dalej:

„...ogromna nędza w tej Warszawie. Pozatym wszyscy żyją bardzo skromnie, mód prawie niema, nosi się spódnice tailleur, bardzo krótkie i bardzo obfite. Jak wiesz, mam ładne nogi, więc mi z tym do twarzy. Kończę, dodając, iż powaga chwili i nawał obowiązków społecznych odbiera mi wszystek czas. Wszyscy pracujemy dla ogółu. Tysiąc całusów...”

ANKIETA.

Ktokolwiekbaż zaglądał do tajników oficyny księgarskiej i odczytywał tytuły nierozkupionych, wielotysięcznych broszur socjologicznych...; ktokolwiekbaż znał los dobitnych cyrkularzy, rozsyłanych do członków polskich obywatelskich instytucyj...; badał żywot Kursora towarzystw filantropijnych...; czytał o pracy Danaid; obserwował polot piór kobiecych w tygodniowym piśmie rodzinnym, albo studjował grafologję według „Tygodnika“; ktokolwiek wreszcie zapoznał się z gwarą majtków okrętowych i z leksykonem pisarzy prowentowych.—

Ten wie, czym jest: Ankieta.

Zaś co się tyczy polskiej ankiety w szczególności: kto czytał pismo Klinowe, albo hjeroglify na ścianach szaletów, przeznaczonych do użytku publicznego — kto studjował trzysta sześćdziesiąt pięć wypraw Pinkertona — ten poznał ankietę polską.

— Farysie, leć!

Oto migają problematy, niby sokory rozstajne, zasię małe kwestje roją się w oczach, jako step bez końca.

One pisma okrężne...

One ankiety do handlowców, do dziennikarzy, do aktorek, do posłów...

One ankiety — czystościowe, skierowane do młodzieży akademickiej...

Zapytanie: „Jak się Pan (i) zapatruje na sprawę wstrzemięźliwości płciowej“.

Odpowiedź: „Wcale nie zapatruję“.

„Z idejowych przyczyn zmuszony potępieć podobne postanowienie kwestji, tak jak jestem stronnikiem swobodnego instynktu.“

„Ankieta wasza jest chybionym pismem głupców“.

„I tylko troszkę — pokaż pończoszkę“.

„Owszem“. (?)

„W imieniu koleżanek widzę się zmuszoną do zaprotestowania przeciwko stawianiu takich pytań!!!!

Ja na przykład nie mogę odpowiedzieć! i nie podpisałabym za nic nazwiska także moje przyjaciółki a to jest miarodajne bo zawsze uczucie wstydlivosti znamionuje rzeczy których strona moralna pozostawia do życzenia zwłaszcza u kobiet! Wobec tego zaś, że cel niniejszej ankiety właśnie ową stronę moralną miał zamiar poddać dyskusji“...

I t. d., i t. d.

One ankiety w sprawach czytelnictwa...

Zapytanie: „Które z przeczytanych dzieł literackich, względnie naukowych, najbardziej przemówiło Panu (i) do myśli i serca?

Odpowiedź: „Henryk Sienkiewicz“.

.

I tyle, tyle innych!

Mój Boże! Czy ankieta wogóle jest idjotyzmem, czy też ludzie, układający ankiety, są idjotami? Czy może idjotyzmem jest ankieta w Polsce? A wreszcie — może tylko stosunek Polaków do ankiety jest idjotycznym?

II.

Jan Grdyka, dziekan fakultetu ekonomicznego, profesor socjologii i historii na uniwersytecie... w Częstochowie — siedział posępnie przy biurku.

Wyniosła, szlachetna postać autora „Szkiców socjologicznych“ schylona była, zgięta, prawie złamana.

Znakomity twórca „Glossy Narodowej“ — wzdychał.

Patrzył na biurko swoje, na trzy wielkie stoły, — puste, chociaż przysposobione do przyjęcia wielu papierów...

— Dzisiaj minął termin naszej ankiety — szepnął żałośnie. — Ani jednej odpowiedzi... Straszne!

Machinalnie zaczął się bawić kościanym nożykiem do przecinania kartek. Myślał głośno:

— Na kilkaset egzemplarzy naszej ankiety, rozesłanych do najwybitniejszych obywateli kraju — nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Ba! To są polskie stosunki.

Niechby w takich warunkach spróbował wytrwać na katedrze który z moich belgijskich, francuskich, niemieckich, czy amerykańskich kolegów!...

Zwiesił głowę.

Po chwili oczy jego spoczęły na stosie druków jednakowego formatu. Była to właśnie Ankieta — ulubiona, przemyślana i opracowana przez samego profesora ankieta, zawierająca w lakonicznych ramach kilku punktów po mistrzowsku ujęte, w trafnych pytańnikach skupione, zsyntetyzowane rozwiązanie... sprawy polskiej. Ankieta brzmiała, jak następuje:

„Wydział Socjologii na Wszechnicy Częstochowskiej.

ANKIETA.

W celu wyjaśnienia, ujęcia i architektonizacji ideałów naszych, rozpisujemy niniejszą ankietę, prosząc, aby W. Sz. Pan (i) zechciał (a) odpowiedzieć na każde z następujących poniżej 5-u pytań, w których zawarliśmy treść tak drogiej nam wszystkim

Sprawy Polskiej.

1. Co należy rozumieć w słowach „Sprawa polska?”

2. Jaki jest udział W. Sz. Pana (i) w pracy, poświęconej Sprawie polskiej?

3. Jakie czynniki posiadają największe znaczenie dla Sprawy polskiej: etyczne, polityczne, czy też ekonomiczne?

4. Jaką rolę odgrywa wobec Sprawy polskiej historia?

5. Czy W. Sz. Pan (i) zasadniczo dopuszcza w Sprawie polskiej istnienie bodźców motorowych, (dodatnich) tudzież hamujących (ujemnych)?

Upraszamy W. Sz. Pana (i) o wypełnienie poszczególnych rubryk niniejszej ankiety i o nadesłanie nam takowej najpóźniej do dnia...

Należy adresować na ręce profesora Jana Grdyki, dziekana fakultetu ekonomicznego przy Wszechnicy Częstochowskiej. — “

Profesor Grdyka położył druk na stole, poczym splótł palce na kolanie, aż trzasło.

Siedział tak długą chwilę. W ciszy gabinetu brzęczała nieśmiało mucha, — jedynaczka, czująca się tu widać nieswojo wśród tylu nagromadzonych mądrości i daremnie szukająca wyjścia...

Zastukano do drzwi.

— Kto tam? Proszę wejść.

Poruszyła się klamka i weszła niewiasta, zarządzająca kawalerskim gospodarstwem profesora.

— Ze wsi, panie profesorze. — List.

— A! — profesor się ożywił — czy czekają na odpis?

— Nie.

— Oho! Pewnie odpowiedź na ankietę. Gdzie ten list?

— W przedpokoju na stole. Czy mam przynieść?

— Tak, tak. Zaraz!

Profesor wstał szybko od biurka i wyciągnął rękę. — Czekaj.

Gospodyni zniknęła, poczym wróciła i podała mu dużą kopertę. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, profesor wziął list, potym położył go przed sobą na stole i zatarł dłonie. — Ciężki...

— No — mruknął do siebie z satysfakcją — Przynajmniej jedna odpowiedź. Niechże to będzie początek.

Szybko rozciął kopertę. Z listu posypały się naraz pieniądze.

Zdumiony, podniósł brwi, poczym odgarnął srebro na bok i czytał szybko:

Szanowni Panowie!

Chociaż praca moja nie pozwala mi wyjechać do miasta, a ciężki zawód rolnika przykuwa do roli, niemniej, czuję się obywatelem tego

kraju i dlatego żałuję z całej duszy, że nie mogę przyjechać na Ankietę, ani być obecnym osobiście w historycznym grodzie Częstochowie. Życząc Wam powodzenia w Waszej pięknej pracy, Szanowni Panowie, wołam z całej siły „Szczęść Boże!” — i pozwalam sobie przesłać ze swojej strony skromną ofiarę w kwocie rubli srebrem 3 (trzech).

Z głębokim szacunkiem, zawsze do usług
Antoni Fajczyński
Obywatel ziemski.

Wólka, dnia.“

Profesor Grdyka przeczytał list, potym spoj-
rzał na pieniądze i siedział chwilę bez ruchu,
sztywny, z otwartymi ustami.



BALKON.

Zdarzyło się, że w pewnym domu w Warszawie służył bardzo stary stróż. Sam fakt że stróż był bardzo stary, nie upoważniałby nas bynajmniej do używania formy: „zdarzyło się.“ Ale zachodziły w danym wypadku pewne okoliczności, zasługujące na miano wyjątkowych. Otóż ów stróż był na swoim urzędzie z górą pół wieku — i żył. Następnie obchodził swój pięćdziesięcioletni jubileusz, o czym nawet była wzmianka w jednym z warszawskich kurjerów. Dalej — za wierną, długoletnią pracę otrzymał od swojego kamienicznika jednorazowe premjum w wysokości — o ile nas pamięć nie myli — dwudziestupięciu rubli. Rzecz to jest u nas rzadka, dlatego podnosimy ją nawet z pewnym rozczuleniem, jako przykład iście ludzkiego stosunku chlebodawcy do pracownika.

Stróż miał liczną rodzinę. Z dziewięciorga dzieci uchowało mu się dwóch synów i dwie córki. Córki powychodziły zamąż i urodziły mu wnuków, a synowie, podobnie, poženili się i mieli potomstwo. Tak więc stróż-jubilat święcił swój piękny

jubileusz w otoczeniu bliskich, notorycznie szczęśliwy i — jak na swój podeszły wiek — rzeźki i prawie zdrów, boć reumatyzm i te trochę astmy nie można nazwać chorobami, a co do sklerozy, to chorują na nią nawet hrabiowie i to nie w ósmym krzyżyku, ale bodaj, że już w trzecim, natychmiast po wyjściu z jakiegoś Theresianum, albo Chyrowa.

— Jak wam na imię, ojczy — i jak się nazywacie? — pytał w dniu jubileuszu pan z gazety, który, dowiedziawszy się od swego przyjaciela, rządcy owego domu, o rzadkim święcie, zszedł do sutereny jubilat, aby zanotować personalja.

— Walenty, wielmożny panie, — odpowiedział stróż.

— A nazwisko?

— Pukała.

— Walenty Pukała?

— A tak, proszę wielmożnego pana.

— Pięćdziesiąt lat służycie? — Pytał pan z gazety.

— Pięćdziesiąt — z dumą potwierdził zapytany.

Reporter zapisał w notesiku P a k u ł a, zecer złożył później K u p a ł a, — ale zawsze-ć przecież stało w kurjerze.

Dom ów — potocznie mówiąc: kamienica — stał w Alejach Jerozolimskich, czy też Ujazd-

wskich — a może być zresztą, że na Nowym Świecie, czy na Krakowskim. Właściciel zamieszkiwał przeważnie zagranicą, więc wszystkie cztery piętra zajmowali lokatorowie — ale nie bylejacy. Na parterze mieli swe biura techniczne dwaj inżynierowie; na pierwszym mieszkał pewien znany doktor oraz pewien niemniej znany adwokat; na drugim piętrze mieszkał znów adwokat i doktor; na trzecim — doktor i adwokat... i na czwartym...

Stopień ich wziętości — i co za tym idzie — zamożności — wiązał się, oczywiście, z piętrem, na którym zamieszkiwali, — a znów piętro zależało od wieku lokatora i od daty rozpoczęcia przezeń praktyki zawodowej. Rzecz prosta, że na pierwszym piętrze mieszkali dwaj panowie najstarsi, którzy najdawniej byli na arenie życiowej i opierali się o najstarsze dyplomy.

Oba mieszkania pierwszego piętra miały po pięknym balkonie od ulicy, ale zwłaszcza pięknym był balkon pana adwokata.

Papuga, która, jak wiadomo, może dożyć do sędziwej starości — na schyłku lat przechodzi czasem samą siebie, to znaczy, tak zakrzywia się w dziobie, że staje się do ptaka niepodobną i nie mogąc otwierać już gardła, umiera, jako znak zapytania — i umiera z głodu.

Człowiek, — który, jak wiadomo, może dożyć również do względnie sędziwej starości, przechodzi także w miarę lat samego siebie, to znaczy, że

z dożywotniego adwokata przysięgłego staje się coraz, ale to coraz bardziej — mecenasem.

W tym stadium zbliża się powoli ku swemu naturalnemu końcowi, poczym gaśnie łagodnie.

Ale wówczas, gdy papuga faktycznie kona z głodu, mecenas w tym okresie umiera zazwyczaj — z przejedzenia. I to jest zasadniczą różnicą pomiędzy zwierzęciem, a człowiekiem.

Otóż mecenas, który mieszkał na pierwszym piętrze i posiadał piękny balkon od ulicy — posiadał również żonę, osobę wielce szanowną, i dwie prześliczne córki, a także kilku dependentów, młodzieńców obiecujących. Tych ostatnich wypada jednak zaliczyć raczej do inwentarza kancelarii.

Balkon mecenasu był ozdobiony bardzo gustomiennie pelargonjami, różami i jeszcze jakimiś kwiatami, które zostały poraz pierwszy wystawione w Bagateli, podczas wystawy ogrodniczej, i które, — jako misterny okaz skrzyżowania czegoś z czymś — mecenas zakupił i hodował na swoim balkonie. Mecenas był miłośnikiem kwiatów, jak też wogóle sztuki pięknej. Był estetą.

Zdarza się, że człowiek pracy, prawnie poświęcony studjowaniu paragrafów, akt, kontraktów, testamentów, kodycyłów, inwentarzy, konkursów i tak dalej — przeglądający w kancelariach papiery „wchodzące” i „wychodzące” — jest nie tylko zawodowcem, ale i estetą.

Tacy artyści w duchu posiadają specjalny, osobliwy urok, a w społeczeństwie swoim są, jakoby żołnierze, którzy wracając z bitwy, zdobią bojowe oręż w promienny uśmiech kwiatów.

Mecenas miał zwyczaj wkładania róż do swojego portfela. Pachnące, niewinne płatki, leżące pomiędzy aktami spraw, odsłaniały duszę mecenas, jak one... — delikatną i wrażliwą.

Znany był ze swojej pięknej słabości w szerokich kołach miasta.

Ale wróćmy do balkonu mecenas.

Ten balkon widział wiele, podobnie jak dom, do którego należał i jak wierny stróż tego domu — Walenty Pukała.

Kiedyś, bardzo dawno, przed wielu laty, szalała tędy dziwna, obca kawalerja, pędząca co koń wyskoczy od Zamku, czy też na Zamek... Bodaj, że to byli czerkiesi i bodaj, że jest nawet pewien obraz, przypominający ówczesne sceny uliczne...

Balkon widział te sceny i zapamiętał je sobie. Jedna z wiatowych kul, zbłąkana, warjacka kula, wystrzelona z oficerskiego pistoletu, naznaczyła wówczas balkon długą szramą.

Potym, coś w parę dziesiątków lat później, działy się w tym samym miejscu rzeczy nie mniej ciekawe, choć kule, które ponownie porysowały balkon, pochodziły już nie z pistoletu, ale z re-

wolwerów... Gdy nadszedł rok tysiąc dziewięćset piąty, „interesujący rok — „ jak go określił jeden pan z klubu myśliwskiego — zaczęły się rozgrywać na ulicach najwspanialsze przedstawienia teatralne, farsy i tregiedje wielogłosowe, niektóre na modłę grecką z Koturnami i chórami, a inne z inkantacją i tłumem uspołecznionych statystów. Doczekał się wówczas balkon i pochodów socjalistycznych i starć ulicznych... Słyszał mówców, zagrzewających lud do czynu, słyszał gromowe hasła krwi i jęki tysięcy ludzkich piersi i przeraźliwe świsty i miarowy, daleki tupot nadjeżdżającej konnicy. Potym widział balkon uroczę narodziny wielkopomnego pochodu Narodowego...

A później przez tygodnie, miesiące, ba! — lata całe — bywał świadkiem migawkowych spotkań ulicznych, podczas których z tłumów wypryskiwał zazwyczaj jakiś pojedynczy człowiek i gnał na oślep przed siebie, — a dopiero pozanim, w przyzwoitej odległości żołnierze, policjanci i agienci... —

Słyszać było chrapanie pogoni w zaułkach, podwórzach domów, albo w bocznych ulicach, albo w przechodnich bramach, dających wyjście na Leszno, albo na Widok, albo na Marjensztadt, albo na Stare-Miasto...

Stary balkon w mieszkaniu mecenasa był świadkiem wielu, bardzo wielu rzeczy. Czasami zdawało się, że w cichą, letnią noc, kiedy nie było

przechodniów, — pomiędzy balkonem, budowlą, a sędziwym ich stróżem, Walentym Pukałą, snują się jakby nici porozumienia...

Pukała podczas swoich dyżurów nocnych siadywał nieruchomo w czarnej sionce bramy, marząc z głową zadartą i zapatrzoną w gwiazdy.

— — — — —
— — — — —

Coś w rok po owym jubileuszu stróża, w miesiącach letnich, podczas rozpoczynającej się normalnej kanikuly — oddźwiękły w Warszawie echa dalekich serajewskich strzałów i osowiała prasa ocknęła się, jak zgalwanizowany nieboszczyk. Bodaj, że paru redaktorów powróciło pośpiesznie z Zoppot i Marjenbadu, aby, jak to wyznali w którejś z resurs, przy bridge'u — „stać na wszelki wypadek na stanowisku.“ Przeszedł jakiś miesiąc norwowego niepokoju, upału, suszy i dalekich grózb europejskich, a potym odrazu rozpoczął się tlić ogień, który miał niebawem ogarnąć Europę i cały świat.

Wiadomości przychodziły coraz dziwniejsze. Telegrafy jęczały od natłoku depesz, — aż huknął pewnej nocy grom wojny i zatrzęsął szczerze drzwi do świata. Na granicach państw zagrzechotały niebawem pierwsze strzały, Warszawa zaroiła się, jak arka Noego i długim korowodem zaczęła powracać z kąpieli, sanatorjów, miejscowości

kuracyjnych, letnich, modnych, — ojcowie rodzin, synowie rodzin, rodziny — w kupie, w rozsypce, nieraz w popłochu, jak spłoszone kuropatwy.

W pierwszych dniach sierpnia powrócił i mecenas z rodziną. Jechali z Vichy jakąś fantastyczną marszrutą, bodaj, że przez Sztokholm, a może nawet przez Jassy, czy też przez Konstantynopol. Balkon rozbrzmiewał przez kilkanaście godzin odgłosami wykrzykników, opowiadań, zapytań, skarg, westchnień, — samych państwa mecenasostwa, tudzież licznych gości. Dowiedział się balkon o jakichś Dantejskich scenach, przechodzących swą okropnością makabryczne wspomnienia paryskiego Bazaru, albo katastrofy Titanica...

Dowiedział się balkon o jakichś kufrach, postradanych po drodze, o zgubionych kluczach... Mówiono o akredytywach, o czekach, o runie na banki, o moratorjum, o ojczyźnie, o cierpieniu, o drożyznie, i o mobilizacji.

Podczas, gdy stary balkon czuł po sobie elastyczne stąpania córek pana mecenasa, szelesty  jedwabnych sukienek i kiecuszek — podczas, gdy całe pierwsze piętro tętniało niepokojem podnieconych gawęd towarzyskich, w których raz-po-raz między wykwinnymi, pachnącymi okresami prześlizgiwały się niesłychane dotychczas, dziwne zdania o tym, że „węgla może zabraknąć,” że „nie wiadomo, jak to będzie z elektrycznością,” że „wartoby pomyśleć o zapasach,” że „prezes kupił

dziesięć korcy kartofli i zrobił zapas burgunda, "...asfalt uliczny rozbrzmiewał coraz częściej rytmicznym, wielotysięcznym stąpaniem, a nocą płynęły pułki za pułkami, masy bezimienne, niewiadome, maszerujące w niewiadomym kierunku.

Ślizgały się błyski latarni po ostrzach bagnatów, padały krótkie, urywane słowa komendy, a zapach osobliwy, mieszanina potu, dziegciu i skóry, jakby jakiś chorobliwy opar, podnosił się od owych mas i piał się coraz wyżej, aż do balkonu pierwszego piętra.

— Wojna... wojna...

Ulicą, niby krzykliwe sójki, śmigały wyrostki i chłopaki nieletnie, sprzedający dodatki do pism, oraz wieczorne wydania dzienników.

— Wojna... wojna!...

Stary balkon zawisnął całym ciężarem nad wartkim łóżyskiem ulicy i zżył się z tą ulicą, jak przez sen słuchając jeremjad mecenasa, srebrzystych terlikotań mecenasówien i wykrzykników gości płci obojga, którzy wystawali teraz godzinami, patrząc na ulicę i nic nie zważając na to, że róże i pelargońje na balkonie uschły i powiędły.

Owego ranka wpadł o niezwykle wczesnej godzinie jakiś kuzyn, czy siostrzeniec mecenasa. Obudził cały dom. Rzecz działa się w salonie, od którego drzwi na balkon były otwarte...

Zmieszane, podniesione głosy, wykrzykniki mecenasa, mecenasowej, mecenasówien, wreszcie chaos ogólny, w którym tonęły repliki kuzyna, wyłoniły po chwili jedno słowo: — „Manifest!“

— Manifest?

— Manifest! Odezwa! Wezwanie! Jak chcecie! Słuchajcie — —

Z salonu zaczęły dolatywać urwane wyrazy... Polacy... marzenia ojców... miecz grunwaldzki... jutrzeńka życia nowego... Zmartwychwstanie narodów...—Okrzyk, przesycony ekstazą i radosnym łkaniem wybiegł za balkon.

— Ach, Boże!

W tym samym czasie zadrżał dom, z dalekiego zakrętu wyjechała na ulicę zwarta, czarna masa kawalerji.

Jak fala, albo jak beznogie, płynne ciało sunęła się bliżej, coraz bliżej, aż dopłynęła pod balkon. Ulica ocknęła się.

Rosłe, łochmate chłopcy, bokiem siedzące na małych, złych koniach, las pik, ogłuszający tupot kopyt.

— Kozacy!...

Sotnia za sotnią i jeszcze sotnia i jeszcze — i jeszcze. —

Wzbił się kurz — nie z ulicy, bo lśniła się, z ranka polana hydrantami, — ale z samych jeźdźców, którzy wyziewem potwornym, denerwującym przepełnili całą ulicę.

Zaroili się okna.

Panny wypadły na balkon. Morze kozaków zalało teraz całą widoczną perspektywę i płynęło, czarne, ścieśnione, rytmiczne. Płynęli wolno — kołysząc się na wysokich kulbakach, piękni w błyskaniu pik, w lesie karabinów, w trzepotaniu plutonowych chorągiewek...

Gdzieś w czołowej szpicy zawiódł, zachłysnął się wysoki tenor zapiewały — i raptem huknął dziki śpiew chóru, podchwytywany przez sotnie, podszyty świstem i jakimś pół-ludzkim, pół-zwierzęcym stękanieniem.

Esauli na krnąbrnych, zezowatych konikach skrocza rypały po trotuarach, oganiając swoje sotnie, — niby psy pastusze, tańczące koło kolan buhajów. —

Pieśń urwano.

Jeszcze jeden przenikliwy świst, gdzieś, daleko, daleko, na samym czole — i sotnie zamilkły, głucho dudniąc po bruku. A szły wciąż nowe. Przewalały się przez róg ulicy, zataczały końmi i sunęły pod balkonem, niby czołgające się pierścienie.

W pewnej chwili jedna z mecenasówien odwróciła się, pobladła i szepnęła coś do siostry. Schyliły się obie przez poręcz balkonu i poczęły w podnieceniu rwać, szarpać resztki żyjących jeszcze, pnących się róż i czerwonych pelargonij.

Ponownie przechyliły się z balkonu. Wyciągnęły entuzjastycznie ręce i powiały białą płachtą druku, podpisanego przez Wielkiego księcia...

Nagły, niepewny, trochę histeryczny — urwał się okrzyk i spadł z balkonu między sotnie.

— Bracia!...

Kilka głów podniosło się do góry.

Wówczas śliczne panny w powiewnych, białych szlafroskach, odsłaniających niewinne różowe ramiona, poczęły garściami rzucać kwiaty na głowy kozaków i pod kopyta koni.

Mecenas rozpromieniony podsunął się jakoś bokiem i zaryzykował okrzyk...

— Hura!

Potym sponsował cały i cofnął się o pół kroku od poręczy.

Teraz już wszystkie głowy jeźdźców podniosły się i wpatrzyły w balkon. Pierwsi nie zrozumieli i odwrócili się obojętnie, mijając. Drudzy gruchnęli zdrowym rechotem, widząc młode, ładne dziewczyny... Któryś złapał kwiat w powietrzu, pokazał zęby i zaczął dawać ręką znaki jakieś — — dziwne dla panien i niezrozumiałe.

Wreszcie jakiś przejeżdżający oficerek obejrzał się szybko za siebie, na starszych oficerów, a nie widząc ich w pobliżu — przesłał od ust całus powietrzny, poczym zasalutował niedbale, wykręcił i puścił się rysią, nieruchomy na rozdygotanym, zdartym koniu.

Widać z przodu uczyniło się luźniej, bo po sotniach przebiegły rozkazy, ławy zakołysały się i poszły kłusem.

Aż wreszcie minęli.

Za ostatnimi długo jeszcze biegł obłok pyłu, zanim nie rozproszył się w oddaleniu.

Kiedy panny zeszyły z balkonu, a na opustoszałej ulicy rozsiały się grupy przechodniów, przytulonych do muru — wyszedł z bramy stróż, Walenty Pukała. Pogapił się na balkon, spuścił oczy, poczym ruszył, postępując, na ulicę i zaczął zamiatć zmiażdżone, strątowne szczątki kwiatów, wtłoczone w asfalt i posypane obficie gnojem końskim.



MISTRZ.

- Czy wszystkie światła zgaszono?
- Wszystkie, Mistrzu...
- Czy wszyscy jesteście zebrani?
- Wszyscy, Mistrzu...

Głucha ciemnia pograżyła w sobie całość. Mistrz i bracia utonęli w tajemniczej sali, która mogła być wielka, albo mała — a zawsze zdawała się być taką, jaką ją budowała potrzeba. Czarne sukno oblekało ściany, kolumny, strop i posadzkę.

- Co to za światło się jeszcze pali? Tam —
- Przed świętym obrazem, Mistrzu...
- Zgaście.
- Dotychczas zawsze się paliło...
- Zgaście.
- To mała lampka tylko...
- Zgaście.

Mrok się stał śmiertelny.

- Gdzie są nasi stróże?
- Na stanowiskach.
- Dobrze zaczajeni?
- Zaczajeni, Mistrzu...

- Gdzie są nasze czujne psy?
- Wietrzą naokoło gmachu.
- Północ. Strona zimnych wiatrów!
- Są tam, Mistrzu...
- Południe. Strona dzikich pól?
- Są tam, Mistrzu...
- Wschód. Strona krwi?
- Są tam, Mistrzu...
- Zachód. Strona zgubionych kroków?
- Są tam, Mistrzu...

Milczenie zaległo. Cisza wznosiła się powoli i zawisała nieruchomo u stropu.

Głos mistrza zabrzmiał po długiej chwili, jakby z pod ziemi, niezmiernie daleki...

— Dobywam w tej chwili szpady. Dobądźcie i wy.

Wiele chwil upłynęło, a nie słysząc było szczęku broni. Tak cicho obnażyli bracia szpady swoje.

Głos mistrza zabrzmiał po raz drugi.

— Baczcież, bracia, aby nie spłynęła przez przypadek jedna kropla krwi z zadraśniętego palca... czy wszystkie szpady są tępe, jako i moja?

— Wszystkie, Mistrzu...

Głos mistrza zabrzmiał ponownie podziemnym szeptem.

— Zaczynam. Powtarzajcie za mną Wielką przysięgę.

I wśród głuchej ciemni zaczął się sączyć pomruk stłumiony, echo głosów braci, powtarzających za Mistrzem rotę przysięgi.

— My, kawalerowie złotego pierścienia, dzieci nocy, synowie leniwych godzin, bracia niewolni — przysięgamy:

na czarne sukno, którym wysłana jest sala zgromadzeń naszych, wielka albo mała, a zawsze taka, jaką ją wydaje się budować potrzeba...;

— na szpady nasze, które trzymamy w prawicach naszych, a które nie ostre są, jeno tępe, iżby nie spłynęła przez przypadek jedna kropla krwi z zadraśniętego palca...;

— przysięgamy:

— na wszystkie cztery śwata strony, czujnie przez nasze psy strzeżone...;

— na niewzruszoną moc gmachu naszego;

— przysięgamy:

— na imię Wielkiego Mistrza naszego — iż nigdy nie zdołamy obudzić w sobie tęsknoty, aby zmartwychwstała ta, która *umarła*.

— Amen.

Mistrz schował szpadę do pochwy i bracia tak uczynili, ale nie słysząc było dźwięku broni.

Mistrz odezwał się po pewnej chwili, a mówił słowami, które snuły się cudownie, niby bezszelstne pasma czarnego jedwabiu, przewłóconego po czarnym suknie.

— Bracia. Przeszły poniekąd godziny nocy, a misterjum zwyczajne dobiega końca. Teraz złączone serca nasze mają w sobie doskonałość bicia, a nie zakłóci nic równego ich uderzeń szeregu. Teraz umysły nasze są pełne spokojną wiedzą rzeczy przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Teraz więc możemy — jako pozwala ustawa zgromadzeń naszych — przystąpić do zapytań, a odpowiedzi. Wiele-bo rozkoszy może mieć człowiek najmędrszy, który wiedząc, jednak pyta — a znów zapytany mędrzec, kiedy wiedzącemu odpowiada. Pytajcie. Ja odpowiadać będę.

— Czy jest między nami *Umarła*?

Na ten głos mistrz obrócił głowę, ale mówiącego nie widział, bo głęboka ciemność okrywała ich skrzydłami swoimi.

— Jest.

— Długo-ż tak trwa?

— Od chwili konu.

— Dlaczego jest między nami, Mistrzu?

— Bowiem jej nie budzimy.

— Czyli w trumnie spoczywa, Mistrzu?

— Tak jest. Spoczywa w szklanej trumnie.

— Nie widzę jej.

— Jest ciemno, bracie.

— Kazałeś zgasić światła, Mistrzu...

— Kazałem.

— Czemuż jej przedtem nie widziałem?

— Zaliż nie widziałeś?

— Nie.

— Widać ślepy jesteś, bracie. Spytaj sąsiadów swoich. Ci ją widzieli.

— Tak jest, Mistrzu! Widzielim.

Przeszło czasu trochę, zanim głos pokorny i zawstydzony zaszeptał:

— A! otóż i ja widzę! Zaiste, jest z nami Umarła. Prawda, prawda!

— Więcej nic nie masz do mnie?

— Nie, Mistrzu...

— Siedź w spokoju.

Cisza kołysała się u stropu, opływając wzdłuż ścian skrzydłami, jakoby ptak w zmierzchu.

— Mistrzu — odezwał się nowy głos.

— Bracie!

— Przysięgając, iż nie obudzim w sobie tęsknoty, aby zmartwychwstała ta, co *umarła* — któż my jesteśmy?

— My jesteśmy sól ziemi.

— Czy tak jest istotnie Mistrzu...?

— Tak jest, jako mówię.

— Dzięki ci, Mistrzu...

— Więcej nie masz nic do mnie?

— Nie, Mistrzu...

— Siedź w spokoju.

Jak sen snuły się wątki rozmowne, a zgromadzenie było, jako zaczarowany dwór. Gdyby płatki czarnej róży upadły na puch czarnych łabędzi — nie byłoby takiej aksamitnej cichości.

Może być, iż naokoło pałacu gorzały zorze, albo buchały smolne pochodnie — może być, że ocean bił gdzieś o brzeg, jako taran szklany, wiekuiście uderzający o granitowe czoło i wciąż ociekający szklanym sączem, a posypyany mlecznym pyłem — może też być, iż toczyła się w świecie wojna, albo stał wrzask ludzki, albo huczał dygot fabryczny, jęczący dźwiękaniem żelaznych lewarów.

Jakże mistyczny był wiew nocy w czarnej, milczącej sali Zgromadzenia!

Niebyt zdawał się obejmować niewiadomą mnogość braci, skupionych koło niewiadomego mistrza.

- Mistrzu... — odezwał się jeszcze jeden głos.
- Bracie?
- Czy my jesteśmy liczni?
- Tak.
- Czy jesteśmy od początku?
- Byli przed nami inni. Ale my — i oni — to jedno. Więc jesteśmy od początku.
- Ale *my* jesteśmy dlatego, iż jest *umarła*?
- Tak.
- Czy musimy myśleć o niej?
- Nie.
- A mówić?
- Tak.
- Czy można mówić — nie myśląc, Mistrzu?
- Tak, — — bracie.

- Dziękuję ci, Mistrzu.
- Więcej nie masz nic do mnie?
- Nie, Mistrzu...
- Siedź w spokoju.

Mistrz powstał. Obwiódł wzrokiem niezgłębioną noc, kryjącą mnogich braci i rzekł:

— Bracia. Niebawem przyjdzie godzina, w której zwykliśmy opuszczać zgromadzenie. Teraz, podług ustawy, powstańcie i śpiewajcie ze mną pieśń obrzędową.

Bracia powstałi bez szmeru.

Mistrz zaintonował pieśń, a bracia wtórowali mu chórem.

Głucho brzmiał śpiew łoży:

— W Tatrzańskich górach turnia jest.

Swastyki znak na turni tej.

Swastyka patrzy w siną dal,

a dolinami płyną mgły,

jak kłęby fal — —

My w góry nie pójdziemy.

— W niebieskich morzach wielka głąb,

w głębinie zaś korona śpi.

Odmęt, gdy burza wodę gna —

w koronę pereł miota ły.

My ich nie posiadziemy.

— W dalekich polach stoi krzyż,

pod krzyżem zakopano broń

na broni zaschła krwawa ciecz —
jesień zeschnięty sypie liść
na rdzawy miecz.
— My go nie dobędziemy!...



REWJA.

Cyt!

Bije północ...

Zgrzyta zegar stary... pięć... sześć... siedm...
ośm... dziewięć... (*przemija czas*)... dziesięć... je-
denaście... (*przemija czas*)... dwanaście...

Północ.

Godzina wybiła.

Wolno, leniwie, coraz ciszej i ciszej powłóczy
się echo na starym cmentarzu...

Jeszcze dzwoniło w kaplicach — teraz ulicami
biegnie — teraz się błąka w grobach murowanych —
teraz w mogiłach — teraz pod murem, gdzie leżą
samobójcy — teraz już nic nie słyszeć — — prze-
padło — — przepadło — — — przepadło.

Noc.

Cisza.

I — hej!

Zerwało się dziko. Grzmiąco. Straszliwie. Do-
nośnie. Ze wszystkich zagubionych kątów! Z kost-
nic, z trumien, z omszałego, niezmiernego pola

śmierci! Z cmentarnych jam! Z dołów cuchnących!
Z pod płyt marmurowych! Z pod desek!

— Lecą !

Rozwiana — galopuje Śmierć. Koń pod nią
czarny, jak kir — płaszcz na niej biały, jak śnieg...

Jaśniewielmożny dyktator śpiących pułków...
generalissimus pobitych dywizjonów...

Śmierć!

Ta, której Bóg kiedyś powierzył honor pola-
ków — Królowa polskich wojsk.

Prowadzi —

W najgłuchszym wądole cmentarnym, na czar-
nej zapadni, pośród burzanów, pokrzyw, gruzów
i dzikiego ziela — On. Gieñjusz polskiego narodu.
Naokoło niesamowity sztab.

Gieñjusz w czaku szwoleżerów Cesarza, w wiel-
kim mundurze. Bije mu serce, jak dzwon, zaś doł-
man lata na lewej, falującej piersi.

Niewypowiedziane rozkazy cisną się do ust.
Wargi dygocą. Promienne oczy wbija w mrok, skąd
rychło ma nadlecieć lawina.

Z tyłu: syn Chanów, przydzielon od Imperato-
rowej ze Wschodu do boku Gieñjusza. Z tyłu
jeszcze syn Czarnych rycerzy, takż przydzielon do
boku Gieñjusza; z tyłu wreszcie markiz-diuk, kuzyn
bezglowego Capeta. Przydzielon do boku Gieñjusza.
I z nimi monsinjor rzymski. Na barkach fiolety.
Prawa na krzyżu, lewa na szpadzie. Przydzielon do
boku Gieñjusza...

Zadygotały podziemia. Łańcuchy szczękły. Ryknął wiatr. Drzewa śpiewają!

— Lecą!

Głucho uderzają kopyta cwałujących koni. Powietrze świszczcze na lancach. Szable trzaskają. Dzwonią trenzle i ciężkie wytoki.

Na czele Śmierć.

Z klekotem, z chichotem biegną szwadrony.

Trupy...

— Ci, których nie stało...

— Ci, którzy nie stali...

.

— Ci, których zabito...

— Ci, którzy zabili...

.

— Ci, których przeklęto...

— Ci, którzy przeklęli...

.

— Ci, których zdradzono...

— Ci, którzy zdradzili...

.

Śmierć szerokim kołem zatoczyła się przed Gieńjuszem.

Z rozpędu, wolta, zaryła rumaka. Wita się ukłonem wojskowym. Automatycznie salutują za Gieńjuszem obcy panowie — sztab. Schyliły się

militarne głowy. Uwagi czynią. Musztrują wzrokiem ściśle kolumny, lecące przed Gieńjuszem. Mijających się szefów rachują zimnym okiem. Za porywem kościotrupów rzucają długie spojrzenia:

— Quelle bravour...!

— Charmant!

Śmierć dziękuje krótkim skinieniem szpady. Wbiła głuche oczodoły w promienne oblicze Gieńjusza.

— Cudni!

Gieńjusz zerwał czako. Włos mu się jeży. Z pod powiek miotają się błyskawice.

ŚMIERĆ. — Przyprowadziłam ci twoje wojsko.

GIEŃJUSZ. — *Moje wojsko!*

ŚMIERĆ. — Patrz, jaka postawa.

GIEŃJUSZ. — Zaiste!

ŚMIERĆ. — Patrz, jaki pęd.

GIEŃJUSZ. — Orłowie!

Z uniesieniem wyciąga prawicę. Niebieski błysk bije z podniesionej szabli.

ŚMIERĆ. — Miarkujesz ich lot?

GIEŃJUSZ. — Tak!

ŚMIERĆ. — Kochasz ich?

GIEŃJUSZ. — Kocham!!!

ŚMIERĆ. — Na wieki?

GIEŃJUSZ. — Na wieki!!!

ŚMIERĆ. — Nad życie?

GIEŃJUSZ. — Tak!

ŚMIERĆ. — Więcej, niż Śmierć?

GIEŃJUSZ. — Tak!

ŚMIERĆ. — Więcej niż mnie — nadewszystko!

GIEŃJUSZ. — Tak.

Koń pod nim jęknął. Ściśnięty potężnie, wspina się, chrapie i opada ciężko, spinając kark.

ŚMIERĆ. — Zaraz przeminą.

GIEŃJUSZ. — Kto...?

ŚMIERĆ. — Twoje wojsko.

GIEŃJUSZ. — Przenigdy!

ŚMIERĆ. — Patrz...

Ostatnie szwadrony wylatują z ciemni cmentarza. Świszczą ostatnie poszarpane orły i chorągwie czarne... krwawe... białoszkarłatne...

Przeminęli.

Zerwał się szum. Drzewa płaczą. Korony jęczą, korony skrzypią... Suche listowie, porwane z ziemi, sunie żałobnym słupem za niknącą kawalerją.

ŚMIERĆ. — Koniec.

GIEŃJUSZ. — Nieprawda!!!

Wbił ostrogi w brzuch swojego konia. Koń runął naprzód. Jednocześnie Śmierć schwyciła za cugle Gieńjusza.

ŚMIERĆ. — Dokąd?

GIEŃJUSZ. — Puść!

Pasują się ze sobą.

ŚMIERĆ. — Stój!

GIEŃJUSZ. — Puść!

Miotają się pomiędzy drzewami. Płaszcze na nich ogromne, rozwiane, jak dwie chmury... biała i czarna. Drzewa chodzą we wicherze, niby rozkołysane maszty na okręcie, w czas burzy.

ŚMIERĆ. — Stój!

GIEŃJUSZ. — Puszczaj!

Dopadli z boków obcy sztabowcy. Wysunęło się rąk czworo. Upadły na cugle konia. Zdzierają łeb. Gieńjusz się broni.

GŁOS Z PRAWEJ. — Stój! Hahahaha!

GŁOS Z LEWEJ. — Skończone.

GŁOS Z TYŁU. — C'est fini!

GŁOS OSTATNI. — Zrozum, to już było...

GIEŃJUSZ. — Nie, to jeszcze wróci!

Wyrwał z pochwy szablę powtórnie. Uczynił orężem błyskawicę nad głową.

ŚMIERĆ. — Szalony — —!

GŁOSY. — Finis Poloniae!

GIEŃJUSZ. — Nie, to jeszcze wróci!

Zbili się w kłęb. Wznoszą się kopyta koni, dyszą piersi, migają ręce, broń dźwięczy.

ŚMIERĆ. — Ty trup!

GIEŃJUSZ. — Ja żyw! Ave Mors!

GŁOSY. — Bierz go! Bierz! Żywcem chwytaj!
Trzymaj!

GIEŃJUSZ. — Ja żyw — —!

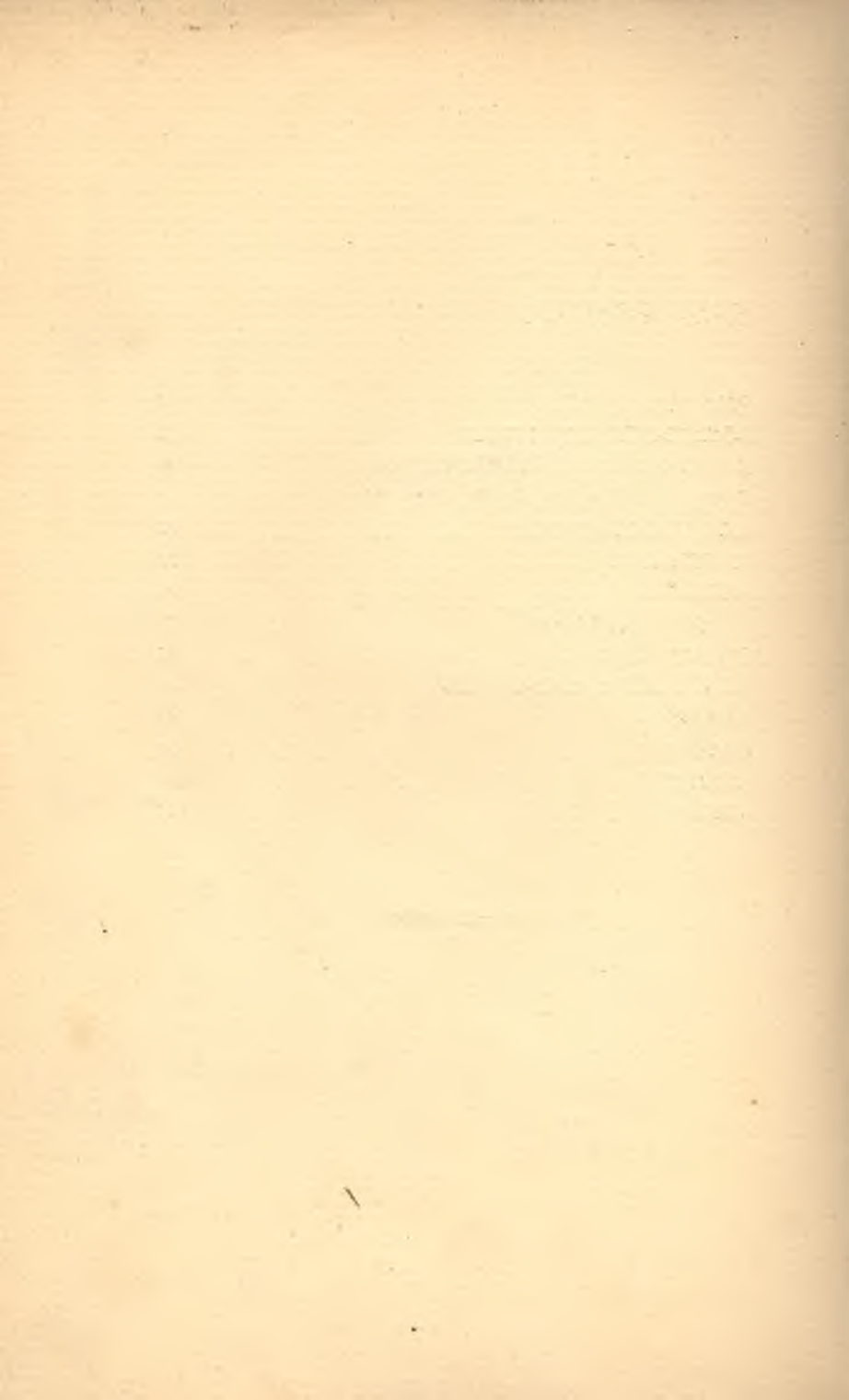
Grzmotnął koniem w zbity tłok. Przebił kłęb.
Samotny—przez chwilę wolny— stoi we wicherze. Za-
nim tamci zdążyli dopaść—obrócił szablę do piersi
i wbił ostrze w serce.

GŁOSY. — Ave, Mors! Moriturus te salutabat!
ŚMIERĆ. (*Przerazliwie...*) — Resurrecturus!



SPIS RZECZY.

PIEŚŃ NA UCZCIE	5
SOCJAL-KONSERWATYŚCI	13
Z KRONIK MIASTA SIMPLICITAS I	29
Z KRONIK MIASTA SIMPLICITAS II	36
MÓJ RODZINNY DOM	43
NEUTRALNI	53
PRZEMYŚL	63
SERCE WARSZAWY	75
STRASZNY SEN	93
KOWNACCY Z KROPIWNICY	111
ANKIETA	121
BALKON	131
MISTRZ	147
REWJA	157



693/9/15
75.

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000346109



II 491657

awol